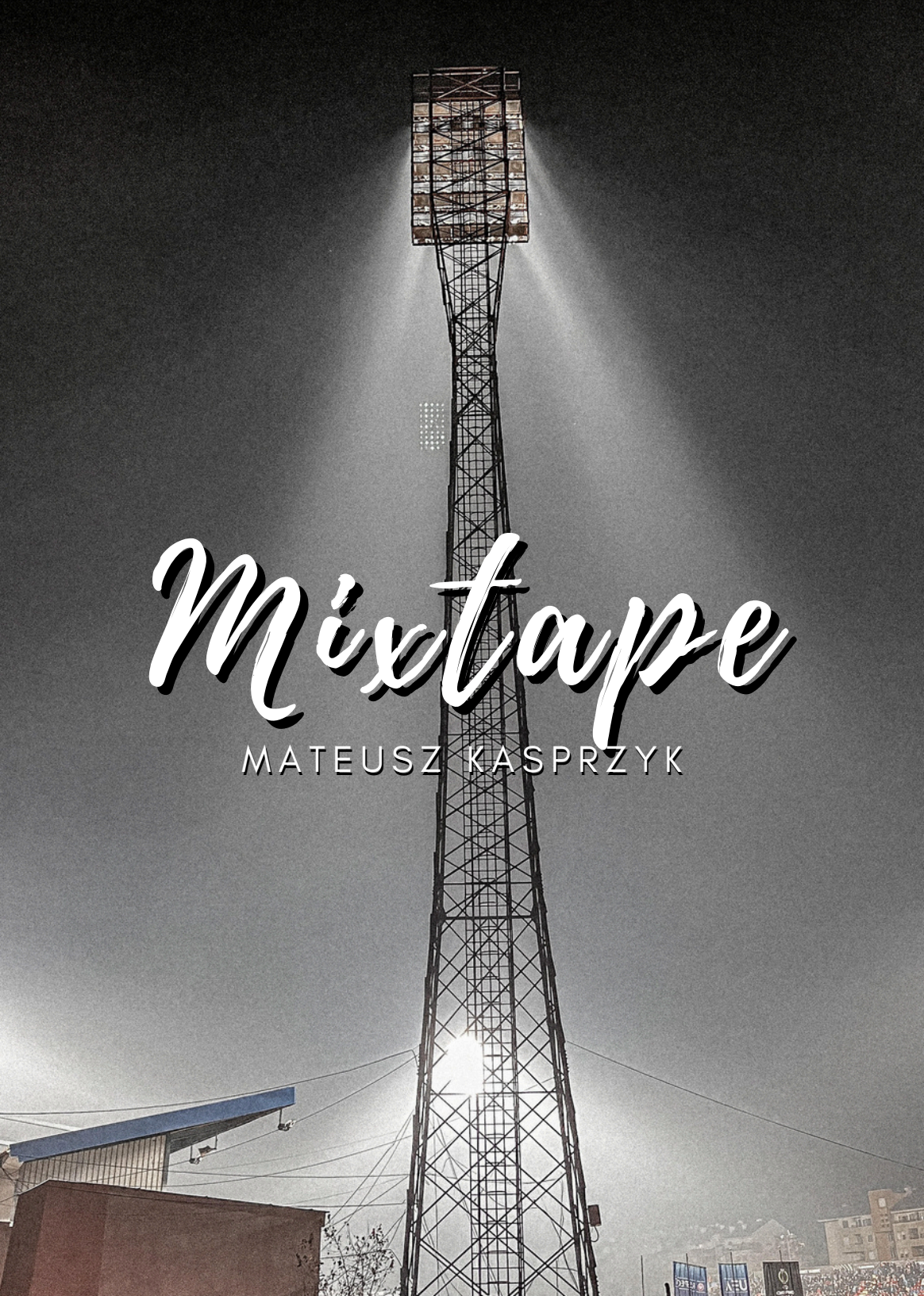




Mixtape

MATEUSZ KASPRZYK

WSTĘP



Dziękuję. Bo nie mam wątpliwości, że kolejną publikację również powinienem zacząć od podziękowań.

Na przestrzeni zaledwie kilku miesięcy wykupiliście praktycznie cały nakład drugiej części "Piłkarskiego przewodnika po byłej NRD 2. Futbol na pograniczu", co jest dla mnie najlepszą możliwą nagrodą za dwa lata pracy nad tą książką. Po raz kolejny utwierdziłem się więc w przekonaniu, że nie warto zbaczać z obranej wcześniej drogi i mogę realizować nawet najbardziej niszowe pomysły, jeśli tylko podejść do nich z maksymalnym zaangażowaniem oraz dopracuję materiał w każdym, nawet najdrobniejszym elemencie.

Dzisiaj, podobnie jak przed rokiem, oddaję natomiast w Wasze ręce e-booka, w którym zebrałem najciekawsze teksty, jakie na przestrzeni ostatnich 12 miesięcy opublikowałem na fanpage'u oraz blogu. Tym razem do standardowych tekstów o byłej NRD doszło też kilka "kawałków" z naszego podwórka oraz Bałkanów - stąd nazwa "Mixtape".

SPIS TREŚCI

STYCZEŃ

- Kęszycza Leśna 03
- Staffelde 08
- Oberliga transmitowana z kuchni 11

LUTY

- BFC Dynamo - Greifswalder FC 15

KWIECIEŃ

- Schody dyplomatów 24
- Lebus 26
- Czy Gubin mógł mieć 2. Bundesligę? 30

MAJ

- Żółty traktor z NRD 37

LIPIEC

- Świt Skolwin 40

SIERPIEŃ

- Hoyerswerda 45
- BSG Aktivist Schwarze Pumpe 51
- Carl Zeiss Jena 56

WRZESIEŃ

- Brieske-Senftenerg i Janoszka 61
- Energie Cottbus 67

LISTOPAD

- TSG Neustrelitz 72
- Hansa w Torgelow 79
- BFC Dynamo - Delay Sports Berlin 88

GRUDZIEŃ

- Crvena Zvezda - VfB Stuttgart 91

Jeśli publikacja przypadnie Ci do gustu
- możesz postawić mi wirtualną "kawę"
na dalszy rozwój działalności
wydawniczej.



Dziękuję za wsparcie!



W czasach słusznie minionych na zachodzie Polski funkcjonowało kilka miast oderwanych od terytorialnej struktury kraju, figurujących na mapach co najwyżej jako tereny leśne, a faktycznie będących w całości pod kontrolą Armii Radzieckiej, która w gęstych lasach tworzyła swoje bazy militarne z pełnym zapleczem mieszkaniowo-usługowym. "Tworzyła" to zresztą słowo niekoniecznie trafne, ponieważ Rosjanie po prostu zajmowali bazy, które w latach 30-tych zbudowali Niemcy.

KĘSZYCA LEŚNA

Losy tych miejscowości po transformacji ustrojowej i oddaniu ich w polskie ręce na początku lat 90-tych układały się różnie. Najśłynniejszym miastem wyłączonym spod polskiej administracji od 1945 do 1992 r. jest oczywiście Borne Sulinowo - powszechnie znane, będące coraz większą atrakcją turystyczną i słynące m. in. ze zjazdów wszelkich pojazdów militarnych. Mimo różnych przeciwności losu, po trzech dekadach od przekazania w polskie ręce, nie ma wątpliwości, że Borne Sulinowo znalazło na siebie jakiś pomysł i ma się całkiem nieźle.

Mniej szczęścia miało położone pod Żaganiem Pstrąże, gdzie mogło mieszkać nawet kilkanaście tysięcy radzieckich żołnierzy ze swoimi rodzinami. W latach 90-tych miasto miało zostać ponownie zasiedlone, ale ostatecznie od pomysłu odstąpiono. Jest położone w środku lasu, dzisiaj nie sposób tutaj nawet dojechać asfaltową drogą. Logistycznie jest naprawdę odcięte od świata. Przez lata było więc atrakcją dla urbexowców i eksploratorów aż w końcu zawiadujące terenem wojsko zaczęło wyburzać kolejne bloki.

Gdzieś pomiędzy - nie tylko geograficznie - uchowała się najmniej znana Kęszycy Leśna, która mniej więcej w połowie jest zamieszкана, a w połowie opuszczona.

Nie ulega jednak wątpliwości, że to jedna z najbardziej specyficznych miejscowości w Polsce. Jest położona zaledwie kilka kilometrów od Międzyrzecza jako kolejna nieznana ciekawostka ciągle nieodkrytego województwa lubuskiego.

Miejscowość powstała pod koniec lat 20-tych ubiegłego wieku jako koszar dla wojsk niemieckich i przede wszystkim część systemu umocnień Ostwall - dzisiaj znanych po prostu jako Międzyrzeczki Rejon Umocniony. Sam MRU zresztą również zasługuje na większą popularność, bo to jedno z największych podziemnych fortyfikacji na świecie, przy których zastosowano nowocześniejsze rozwiązania niż w przypadku np. słynnej Linii Maginota. Armia Czerwona w styczniu 1945 r. potrzebowała jednak tylko trzech dni, żeby przełamać MRU. Wszystko za sprawą będących w rozsypce Niemców, którzy obsadzili umocnienia bardzo skromnymi oraz słabo wyszkolonymi i skomunikowanymi załogami, które bez zapasów broni przeciwpancernej nie miały szans na skuteczną obronę.

W latach 30-tych i 40-tych w Kęszycy Leśnej (wówczas istniejącej pod nazwą Regenwürmlager; regenwürm to po polsku... dżdżownica) szkolili się m. in. służący w niemieckiej armii Walonowie oraz... Hindusi. O ile zdecydowanie większą wartość bojową przedstawiali oczywiście mieszkańcy Belgii, o tyle zdecydowanie ciekawsza jest historia Hindusów, których w Kęszycy odwiedzał m. in. jeden z najśłynniejszych obok Mahatmy Gandhiego indyjskich działaczy niepodległościowych - Subhas Chandra Bose. W przeciwieństwie do Gandhiego chciał zbrojnie walczyć o niezależność swojego kraju i szukał antybrytyjskich sojuszników.

Po wojnie przez dekadę stacjonowało tutaj Wojsko Polskie, później (w drugiej połowie lat 50-tych) teren przeszedł pod jurysdykcję Armii Radzieckiej, a konkretnie wojsk łączności.

Miejscowości oczywiście nie było na mapach - wymieniono ją także jako jedno z potencjalnych miejsc ukrycia Bursztynowej Komnaty.

Rosjanie w trakcie ponad trzech dekad rozbudowali bazę i w konsekwencji stworzyli samowystarczalną miejscowość z pełnym zapleczem usługowo-rozrywkowo-medycznym. W szczytowym momencie mieszkało tutaj ponad 3 tys. osób.

Rosyjski epizod w Kęszycy Leśnej zakończył się w maju 1993 r. Ostatni żołnierze z kieszeniami wypchanymi pożegnalną wódką zapakowali się do pociągu w pobliskim Nietoperku i pojechali do domu.

Kilka dni później miejscowość przejęła polska administracja.

Jadąc do Kęszycy Leśnej nie ma się wątpliwości, że było to idealne miejsce na bazę wojskową.

Za Międzyrzeczem trzeba odbić ze starej trójki w prawo w boczną, słabo utrzymaną drogę i jechać jeszcze kilka dobrych kilometrów.

Stopniowo wjeżdża się w coraz gęstszy las, a spod asfaltu zaczyna przebijać stara kostka brukowa, natomiast wzdłuż drogi nie brakuje śladów po umocnieniach z MRU.



Do Kęszycy Leśnej prowadzi zresztą tylko jedna droga, bo od drugiej strony miejscowość jest oblewana wodami rynnowego jeziora, które powstało niecałe sto lat temu - również jako element systemu obronnego. Niemcy na niewielkiej rzeczce zbudowali jaz, który spiętrzył wodę na mokradłach.

Na samym wjeździe do miejscowości droga przeciska się przez mur z pozostałościami punktów kontrolnych, więc nawet ktoś zupełnie nieobeznany w temacie szybko spostrzeże, że kiedyś był to teren pilnie strzeżony. Sama wieś też robi wrażenie. Po pierwsze jest pięknie położona - w pagórkowatym, niezwykle malowniczym lesie. Pomiędzy drzewami stoją natomiast dawne budynki wojskowe, czyli w większości koszary zbudowane w niemieckim, przedwojennym stylu. Rosjanie miejscową architekturę wzbogacili natomiast o swój znak firmowy, czyli blok mieszkalny typu "leningrad".

Niektóre budynki są w całości zamieszkane i odnowione, inne w całości opuszczone, przeznaczone na sprzedaż oraz przede wszystkim grożące zawaleniem. Dlatego Kęszycy Leśna to w połowie miejscowość-widmo z niepowtarzalnym klimatem. Administracyjnie to wieś, architektonicznie bardziej miasteczko.

Zdecydowanie najsłynniejszymi obiektami są opuszczony budynek poniemieckiego kasyna wojskowego oraz szkaradny pomocnik radzieckiego łącznościowca ze skrajnie nienaturalnymi rysami twarzy. Na fali działań dekomunizacyjnych miał zostać usunięty, ale mieszkańcy na to nie pozwolili - uzasadniając, że to integralna część tożsamości tego miejsca.

Po prostu gwiazda na hełmie wojaka została zastąpiona przez orzełka.

Według dokumentów mieszka tutaj ponad 600 osób. Część na stałe, część przyjeżdża tylko latem (nieruchomości kupiło tutaj sporo Ślązaków, którzy w sezonie przyjeżdżają pooddychać świeżym powietrzem). Jest sklep, remiza OSP, a nawet hotel. Dojeżdża też autobus. Mimo wszystko to specyficzne miejsce do życia - zdecydowanie nie dla każdego. Trochę na końcu świata, siłą rzeczy wymagające sporej mobilności.

Kęszycy co prawda nie podzieliła losów Pstrąża, ale duża liczba pustostanów sugeruje, że plan pełnego zasiedlenia nie do końca się powiódł. Wynikało to w dużej mierze ze złej polityki prowadzonej przez władze zaraz po transformacji, w czasach jeszcze dzikiego kapitalizmu. Nieruchomości sprzedawano na rympał, byle komu, nie zawierając w umowach zapisów o konieczności utrzymania budynków w stanie zdatnym do użyteczności. W konsekwencji poza ludźmi poszukującymi spokoju do Kęszycy trafiły też osoby bez większych perspektyw, namnożyło się bezrobotnych.

Zasiedlanie miejscowości utrudnili też szabrownicy, którzy po wycofaniu się wojsk radzieckich ogołocili wiele budynków - często nie oszczędzając nawet... podłóg. To oni wyrządzili w Kęszycy większe szkody niż sami Rosjanie. Kadra oficerska wojsk łączności była bowiem relatywnie oświecona i dobrze wykształcona, więc żołnierze nie zostawili po sobie bałogu charakterystycznego dla innych żołdatów zza Bugu. A zanim wyjechali, to za półdarmo wyprzedali sprzęt mieszkańcom Międzyrzecza i okolic.



Staffelde
Gemeinde Mescherin
Landkreis Uckermark



STAFFELDE

TO JEDYNA MIEJSCOWOŚĆ,
KTÓRA PO 1945 R. WRÓCIŁA Z RĄK
POLSKIEJ ADMINISTRACJI DO
NIEMIEC

Kształtowanie się polsko-niemieckiej granicy po roku 1945 r. było czasochłonnym i skomplikowanym procesem, który niósł ze sobą wiele efektów ubocznych oraz stawiał zaskakujące wyzwania. W poprzednich publikacjach pisałem m. in. o historii miejscowości Zasieki, która przed wojną była nowoczesną dzielnicą miasta Forst, a po 1945 r., zamiast stać się nowym, polskim miastem, została rozebrana w zasadzie do ostatniej cegły.

Nie przetrwała m. in. z powodu problemów z kanalizacją, bo główny kolektor przechodził pod Nysą do leżącego już po niemieckiej stronie Forst, gdzie była oczyszczalnia ścieków. A wtedy współpracować transgranicznie nikt jeszcze nie chciał.

Ale wytyczenie nowej granicy w 1945 r. miało swoje wodno-kanalizacyjne reperkusje także w innych przygranicznych miejscowościach. Na przykład w Świnoujściu, które po wojnie było - z polskiej perspektywy - prawdziwym dzikim zachodem. Gdy już pierwszej zimy na Świnie spiętrzyła się kra, to miasto zostało odcięte od świata, bo nie mogły pływać promy. Nie było dostaw jedzenia i leków, a ze Świnoujścia prywatny folwark zrobili sobie funkcjonariusze MO, którzy z racji braku kontaktu ze światem zewnętrznym poczuli się bezkarni i zerwani ze smyczy przełożonych.

Ale przede wszystkim - aż do 1951 r. - Świnoujście (co za paradoks będąc na wyspie) nie miało bezpośredniego dostępu do wody pitnej. Granicę na wyspie Uznam pierwotnie wytyczono bowiem względnie prostą kreską. Nie uwzględniono jednak przy tym faktu, że w związku z tym na terenie NRD została położona w lesie stacja uzdatniania wody.

Dlatego na początku lat 50-tych Polska i NRD dokonały ponownej delimitacji w efekcie której na wyspie Uznam powstał charakterystyczny "worek", a stacja uzdatniania wody znalazła się po polskiej stronie. Niegramotnie poprowadzoną, z konieczności skorygowaną linię graniczną, która na chwilę odbija w lewo bardzo ładnie widać chociażby na mapach googlewskich.

Za darmo nic jednak nie ma więc w zamian za dostęp Świnoujścia do wody pitnej w rękach NRD znalazła się trochę dłuższa linia brzegowa na wyspie Uznam oraz przede wszystkim miejscowość Staw.

Staw to dzisiejsze Staffelde, czyli wieś, którą codziennie mijają dziesiątki Polaków skracających sobie przez Niemcy drogę z Gryfina do Szczecina. Kilka domków jednorodzinnych, ze dwa bloki "post PGR", pustostany, a do tego zrekonstruowany pogański kurhan z epoki brązu oraz duży, historyczny spichlerz. Cisza, spokój, w zasadzie koniec świata. Dzisiaj to całe Staffelde. Miejscowość zapisała się jednak na kartach historii (co prawda bardzo mało znanych i istotnych) jako jedyna, która po 1945 r. wróciła do Niemiec (wówczas NRD) z rąk polskiej administracji.



Cesja jest bardzo słabo udokumentowana, ale przez sześć lat polskiego administrowania Staw prawdopodobnie był niezamieszkany jako miejsce wykluczone komunikacyjnie oraz będące pod nadzorem Wojsk Ochrony Pogranicza. Nie było więc konieczności przesiedlania ludności - stąd zapewne to właśnie ten obszar zdecydowano się bez większego żalu oddać NRD. Po 1950 r. Niemcy wrócili więc do swoich starych domów, a to jedyny taki przypadek po wojnie.

Zresztą raczej nikt się tego nie spodziewał, ponieważ w drugiej połowie lat 40-tych w okolicy od zera powstała wieś Neurochlitz, którą zbudowali przede wszystkim przesiedleńcy z saksońskiego Rochlitz (stąd nazwa Nowe Rochlitz).

Przekazanie po 1945 r. pod polską administrację Stawu (Staffelde) oraz Pargowa (które polskie jest do dzisiaj) spowodowało, że w polskich rękach znalazły się miejscowości i wszelkie zabudowania gospodarcze, natomiast na terenie NRD pozostały hektary pól uprawnych, które wcześniej uprawiali mieszkańcy tych dwóch wsi.

W Neurochlitz zbudowano więc 40 domów dla ludzi, którzy chcieli zacząć tutaj życie od nowa i uprawiać ziemię, która po wojnie leżała odłogi (każdy z osadników dostał po 10 hektarów).

Wioska również leży na niemieckiej trasie z Gryfina do Szczecina, więc na tym krótkim odcinku można zobaczyć dwie miejscowości, które na pierwszy rzut oka nie mają żadnego większego znaczenia, ale - koniec końców - kryją ciekawą historię regionu.

Samo Neurochlitz zresztą teoretycznie niczym się nie wyróżnia, ale w praktyce jest zupełnie inne niż pozostałe miejscowości po obu stronach granicy charakteryzujące się zwartą zabudową wzdłuż głównej ulicy i strzelistymi wieżami kościołów.

Neurochlitz to natomiast sieć prostopadłych ulic z domkami wybudowanymi jak od linijki i przede wszystkim w sporych odstępach od siebie oraz bez wyznaczonego konkretnego centrum.

Dzięki temu - przy dokładniejszej analizie - jak na dłoni widać, że geneza powstania tej wioski jest zupełnie inna.



OBERLIGA TRANSMITOWANA Z KUCHNI W BLOKU

Powszechnie znana jest historia Tasmanii Berlin, czyli najgorszej drużyny w historii Bundesligi, która w sezonie 1965/1966 zdobyła 10 punktów i chyba nigdy nie opuści ostatniego miejsca w tabeli wszech czasów najwyższej klasy rozgrywkowej w Niemczech.

Do mainstreamu nigdy nie przebiły się natomiast losy najgorszego zespołu w historii DDR-Oberligi, czyli najwyższej klasy piłkarskiej w NRD. A z racji tego, że ten kraj zniknął z mapy świata już ponad trzy dekady temu, to miano najsłabszego uczestnika zmagani w dziejach Oberligi już zawsze będzie dzierżył BSG Motor Suhl.

Suhl to miasto położone w Turynii, w południowo-zachodnim skrawku byłej NRD.

Otoczone przez szczyty pasma górskiego zwanego Lasem Turyńskim, którego wierzchołki niekiedy sięgają prawie 1000 m n.p.m. Słynące z wielu rzeczy (np. kiedyś z produkcji broni), ale na pewno nie piłki nożnej.

Po pierwsze to właśnie tutaj produkowano słynne motocykle i motorowery Simson, które były w Polsce absolutnym hitem na przełomie lat 80 i 90-tych, a po naszych wioskach z powodzeniem jeżdżą aż do dzisiaj.

Po drugie to w Suhl (a nie np. w Berlinie Wschodnim) w 1966 r. otwarto pierwszą w NRD japońską restaurację, a o historii jej właściciela Rolfa Anschütza w 2012 r. powstał nawet film fabularny pod tytułem „Sushi w Suhl”. Stolik trzeba było tam rezerwować nawet z rocznym wyprzedzeniem.

Z rzeczy mniej przyjemnych – po wojnie nowa władza w zasadzie całkowicie zburzyła historyczne centrum i wybudowała je od nowa, oczywiście według jedynie słusznej myśli architektonicznej. Po 1990 r. Suhl zostało natomiast rekordzistą, jeśli chodzi o exodus mieszkańców w miastach byłej NRD o podobnej wielkości. Zawinęło się stąd prawie 40 proc. populacji. Z 56 tys. dzisiaj jest 36 tys.

A w kwestii sportu – piłka nożna nigdy nie miała tutaj dużego znaczenia, ponieważ w pobliżu znajduje się słynny Oberhof, czyli niemieckie, a wcześniej nrdowskie centrum sportów zimowych.

Biathlon, saneczkarstwo, bobsleje, biegi, kombinacja norweska. Na pewno zimą przez lata trafialiście na Eurosporcie na transmisje z Oberhofu. Z Suhl pochodzi m. in. niespełniona nadzieja niemieckich skoków narciarskich – Stephan Hocke, polscy kibice na pewno kojarzą też chociażby Andreasa Wanka. A za czasów NRD wychowano tutaj wielu medalistów olimpijskich w różnych dyscyplinach.

BSG Motor Suhl swoją nazwę zawdzięczał właśnie wyżej wspomnianej fabryce Simsonów. W latach 70-tych dotarł do DDR-Ligi, czyli na zaplecze najwyższej klasy rozgrywkowej, gdzie łącznie spędził aż 18 sezonów.

Do momentu upadku muru berlińskiego ugruntował swoją pozycję solidnego „pierwszoligowca”. Wszystko dzięki sprowadzeniu się do Suhl kilku niezłych zawodników z wojskową metryką, którzy przyjechali tutaj w związku z prężnie działającym przemysłem zbrojeniowym. Wcześniej o relatywnie poważnej piłce w Lesie Turyńskim nie było mowy. Wszystko kręciło się wokół sportów zimowych.

Na przełomie lat 70 i 80-tych wzmocniony Motor czterokrotnie pukał do bram nrdowskiej ekstraklasy (brał udział w barażach) i dopiero czwarta próba okazała się skuteczna. Wcześniej najbliższemu szczęściu był w sezonie 1978/1979, kiedy wygrał swoją grupę DDR-Ligi, a w turnieju barażowym przegrał z Chemie Lipsk awans do elity tylko gorszym bilansem bramkowym.

Zespół z Suhl dopiął swego dopiero w sezonie 1983/1984, kiedy po wygraniu swojej grupy zajęł drugie miejsce w turnieju barażowym i mógł świętować sensacyjny awans do elity futbolu w NRD.

- Ale nikt tego nie planował. Po prostu nagle awansowaliśmy do Oberligi – wspomina były zawodnik BSG Motor Suhl Dieter Kurth.

„Tam wszystko było dziełem przypadku” – pisze magazyn „Zeitspiel”.

Znalazło to odzwierciedlenie na boisku, ponieważ zespół zakończył zmagania w DDR-Oberlidze na ostatnim miejscu w tabeli z dorobkiem zaledwie pięciu punktów: wygrana oraz trzy remisy (wówczas za zwycięstwo przyznawano dwa oczka). Motor strzelił tylko 16 bramek tracąc aż 92. W pierwszej rundzie wywalczył... punkt.



W związku z tym klub z Turynii zajmuje ostatnie, 44. miejsce w tabeli wszech czasów DDR-Oberligi i już nigdy nie zostanie zdetronizowany. Na pocieszenie można dodać, że w historii najwyższej klasy rozgrywkowej w NRD były zespoły z gorszym bilansem bramkowym (np. VfB Pankow stracił aż 131 goli!) oraz zdarzały się porażki dwucyfrowką, natomiast Motor Suhl najwyżej przegrał „tylko” 0:8 z mistrzowskim BFC Dynamo.

Mimo wszystko dzisiaj w Suhl wspomina się ten jeden sezon w elicie z sentymentem.

- Na nasz pierwszy mecz w Oberlidze z Frankfurtem nad Odrą przyszło 18 tys. ludzi. To były wielkie chwile, graliśmy z tymi wszystkim znanymi klubami – mówił na łamach „Bilda” Kurth.

Średnia frekwencja w historycznym sezonie 1984/1985 na meczach w Suhl wynosiła prawie 6 tys. widzów.

Ale lokalna społeczność zjednoczyła się nie tylko na trybunach, a przede wszystkim w trakcie szeroko pojętych prac organizacyjnych. Bo Motor nie był gotowy na awans nie tylko sportowo, ale także infrastrukturalnie. W ciągu zaledwie kilku tygodni dostosowano zapasy Stadion Przyjaźni w Suhl do wymogów gry w elicie. Finalnie telewizja i tak musiała transmitować spotkania... z pobliskiego bloku, który stał równolegle do linii bocznej, bo na obiekcie nie mieściły się wszystkie kamery. Mecze **NAPRAWDĘ** transmitowano z czyjejs kuchni.

W ciągu jednej nocy za pieniądze z fabryki Simsona postawiono też m. in. drewnianą trybunę oraz wieżę spikera, którą popularny magazyn „11FREUNDE” dzisiaj uznaje za jedną ze 150 piłkarskich rzeczy, które koniecznie trzeba zobaczyć. Znalazły się też pieniądze na wyjazd na obóz przygotowawczy na Węgry.

Piłkarsko zespół nie miał jednak szans na przetrwanie w elicie. Szczególnie, że nie mógł liczyć na poważne wzmocnienia po awansie do Oberligi. Władze uważały, że w Suhl powinno się uprawiać sporty zimowe, a nie grać w piłkę nożną. Dlatego jak na ironię jednym z nielicznych nowych zawodników został Henry Lesser, który najpierw trenował... skoki narciarskie.

Poza tym słabe wyniki negatywnie odbijały się na atmosferze w zespole, którą dodatkowo dobijał fakt mieszkania w małym mieście, gdzie nie było jak odreagować kolejnych porażek. Jeden z zawodników został wyrzucony z drużyny, bo najpierw przebarwił się na blond, a próba odkręcenia tego balejażu zakończyła się zmianą koloru na rudy, co rozwścieczyło trenera.



Do tego dochodziły spartańskie warunki do trenowania (np. na korytarzach) oraz ogólna niechęć władz, które jak najszybciej chciały spuścić Motor z ekstraklasy. Siłą rzeczy sędziowie nie sprzyjali drużynie z Lasu Turyńskiego, która jedyne zwycięstwo w historii występów w DDR-Oberlidze odniosła u siebie nad Wismutem Aue (dzisiaj FC Erzgebirge) wygrywając 3:1.

Dzisiaj zespół nazywa się 1. Suhler SV i występuje w 8. Lidze. Wielki blok z prefabrykatów, z którego kręcono mecze został już dawno wyburzony. Podobnie jak dziesiątki innych bloków w Suhl.

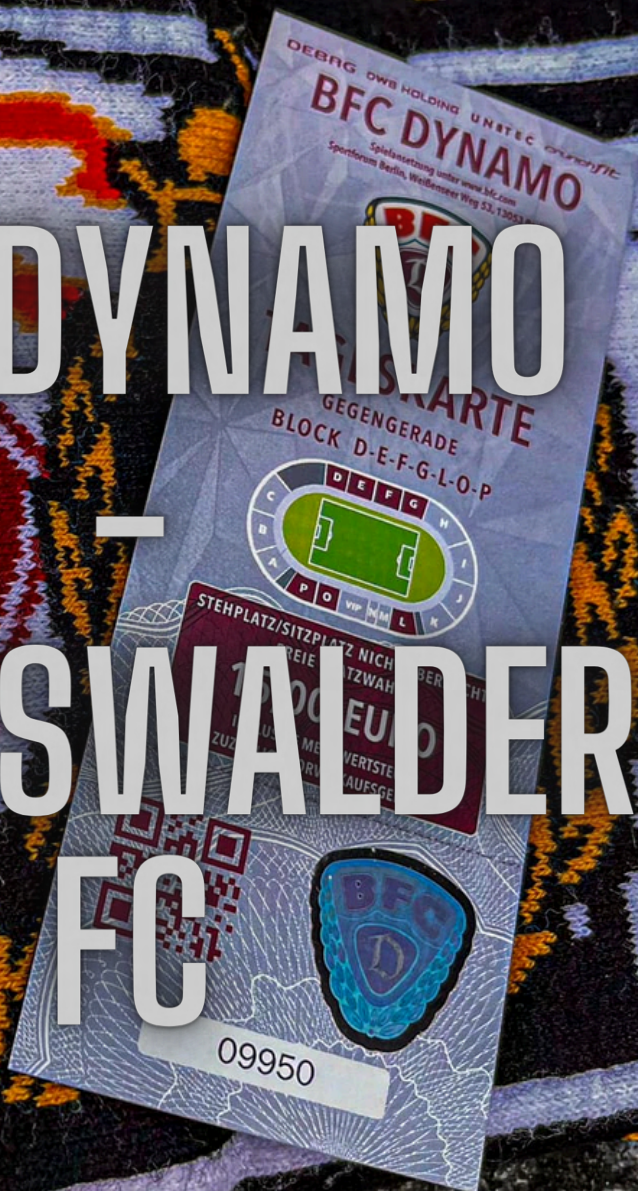


Skocznia narciarska Kanzlersgrund w leżącym nieopodal Suhl Oberhofie była największym obiektem tego typu w NRD.

W 2006 r. zawody Letniego Grand Prix wygrał tutaj Adam Małysz, a rok później najlepszy w Oberhofie był Kamil Stoch.

Rekordzystą obiektu pozostaje Fin Anssi Koivuranta, który w 2005 r. poszybował aż na 147 metr.

BFC DYNAMO — GREIFSWALDER FC



Klimatyczna trybuna na łuku za jedną z bramek na Sportforum Hohenschönhausen od wielu lat jest wyłączona z użytku, bo grozi zawaleniem. Dlatego na każdym meczu do jej pilnowania oddelegowanych jest kilku stewardów, którzy zawracają wszystkich śmiazków próbujących wspiąć się na trawiastą skarpe w swoich w bordowych New Balance'ach albo Superstarach.

Podczas meczu z Greifswalderem FC panowie w odblaskowych kamizelkach musieli jednak skapitulować. Spotkanie oglądał nadkomplet publiczności, bo na stadion wpuszczono więcej osób niż było biletów, dlatego nie dało się określić dokładnej frekwencji. Dziesiątki spóźnialskich 40 i 50-latków w kurtkach Stone Island postanowiło wziąć sprawy w swoje ręce i „otworzyć” zamkniętą trybunę, żeby móc w komfortowych warunkach oglądać mecz.

Stewardzi oczywiście nie poszli na konfrontację z ludźmi, z których mnóstwo zapewne rządziło na chuligańskiej scenie NRD w latach 80-tych i grzecznie się odsunęli – prosząc tylko o pozostanie na górze nieczynnej trybuny. Kibice BFC poszli więc po piwo, wspięli się na skarpe i niczym nieskrępowani mogli głośno krzyknąć DY-NA-MOOO.

To już zresztą nie pierwszy raz w ostatnich miesiącach, kiedy fani Dynamo otwierają zamknięte trybuny.

Podobnie było latem na opisywanym przeze mnie sparingu z Herthą Berlin rozgrywanym na większym Friedrich-Ludwig-Jahn-Sportpark, kiedy zainteresowanie kibiców (10 tys. widzów) też zupełnie zaskoczyło organizatorów.

Wtedy BFC-ers najpierw wjechali z bramą, a potem w kilka sekund zlikwidowali prowizoryczne barierki, które miały wyłączyć z użytku kilka sektorów.

No dobra, ale dlaczego ligowe spotkanie z szerzej nieznanym Greifswalderem FC cieszyło się tak dużym zainteresowaniem?

Żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, to musimy trochę pogrzebać w historii oraz regulaminie rozgrywek.

W tym sezonie zwycięzca północno-wschodniej grupy Regionalligi ma zapewniony bezpośredni awans do 3. Ligi, dlatego kluby z byłej NRD od wielu lat nie stały przed tak dużą szansą na wywalczenie przepustek na szczebel centralny. W poprzednich dwóch sezonach zwycięzcy tej grupy musieli grać w barażach, które solidarnie przegrały BFC Dynamo, a następnie Energie Cottbus.

A trzy lata temu – kiedy rotacyjny cykl barażowy ominął grupę północno-wschodnią – sezon z powodu pandemii przerwano po rozegraniu 13. kolejki, czyli jego faktyczna wartość była tak naprawdę żadna. Wiosną 2021 r. obostrzenia konsekwentnie przedłużano i w końcu uświadomiono sobie, że na wznowienie rozgrywek nie ma szans, więc trzeba kogoś awansować do 3. Ligi.

W momencie przerwania zmagani liderem była rewelacyjna Viktoria Berlin, więc to ona – w zasadzie w prezencie – dostała przepustki na szczebel centralny. Klub był na to zupełnie nieprzygotowany.

Nie miał stadionu, infrastruktury, pieniędzy i przede wszystkim kibiców, więc po roku od razu wrócił do Regionalligi Nordost. Z Viktorią było trochę jak z tą parodią „Sprawy dla reportera”: *Pani redaktor. Przynieśli, kazali podpisać, my nie czytaliśmy, a teraz trzeba grać!*

Dlatego dopiero trwający sezon 2023/2024 jawił się dla wielu upadłych gigantów z byłej NRD jako realna szansa na bezpośredni, upragniony awans do tzw. profesjonalnej piłki nożnej. To miały być niezwykle interesujące rozgrywki, w których: BFC Dynamo, Energie Cottbus, Lokomotive Lipsk, Chemie Lipsk, Chemnitzer FC, Carl Zeiss Jena, Rot-Weiss Erfurt czy FSV Zwickau stoczą pasjonującą walkę o pierwsze miejsce, prawie jak kiedyś za czasów DDR-Oberligi (łącznie te kluby mają na koncie 19 mistrzostw NRD oraz kilkaset spotkań w europejskich pucharach!).

Rzeczywistość zupełnie rozjechała się jednak z oczekiwaniami. Większość znanych marek albo zakopała się w środku tabeli, albo (jak legendarny duet z Lipska) uwikłała się w walkę o utrzymanie na czwartym poziomie rozgrywkowym! Wszystkich pogodził natomiast Greifswalder FC, który zaatakował nawet nie z drugiego, a trzeciego szeregu. Klub spod polskiej granicy – z absolutnej piłkarskiej pustyni jaką jest Pomorze Przednie - jesienią nie przegrał ani jednego meczu i został sensacyjnym liderem.

Greifswalder FC w Regionallidze Nordost gra dopiero drugi sezon (w poprzednim z bólem wywalczył utrzymanie), ale w ostatnim czasie został solidnie dokapitalizowany przez lokalnego biznesmena-filantropa Jonasa Holtza.



Ów jegomość postanowił zrobić w nadbałtyckim, uniwersyteckim miasteczku dużą piłkę i stworzyć jakąkolwiek przeciwwagę w regionie dla Hansy Rostock. GFC ma w kadrze m. in. byłego zawodnika Pogoni Szczecin Soufiana Benyaminę (13 goli) czy mającego przeszłość w VfL Bochum Toma Wielandta i kroczy w zasadzie od zwycięstwa do zwycięstwa (na razie ma na koncie tylko jedną porażkę).

Można powiedzieć, że Greifswalder FC wyrównuje tym samym rachunki z historią, która zablokowała ambitne plany w latach 80-tych. Za czasów NRD BSG KWW Greifswald (protoplasta GFC) był solidną drużyną zaplecza najwyższej klasy rozgrywkowej, ale władze pobliskiej elektrowni jądrowej w Lubminie (dzisiaj już nieczynnej) zamarzyły sobie, że zrobią tutaj piłkę na poziomie DDR-Oberligi. Nie zdążyły, bo w międzyczasie doszło do zjednoczenia Niemiec, a elektrownie wyłączono, bo w kwestii pewnych rozwiązań łudząco przypominała ekspertom swój odpowiednik w Czarnobylu.

Teraz – za sprawą pieniędzy Jonasa Holtza – Greifswald, już w zupełnie innym systemie walutowym, próbuje jeszcze raz powalczyć o awans na piłkarskie salony.

Być może pozwoliłoby to kiedyś ściągnąć tutaj swojego najbardziej znanego wychowanka – Toniego Kroosa.

Jedynymi drużynami, które są jeszcze w stanie pokrzyżować szyki GFC i starają się dotrzymać kroku rewelacji z północno-wschodnich rubieży Niemiec są BFC Dynamo oraz Energie Cottbus.

To dlatego spotkanie z Greifswalderem FC cieszyło się tak dużym zainteresowaniem kibiców we wschodnim Berlinie. BFC Dynamo udanie zaczęło rundę wiosenną (trzy zwycięstwa oraz jeden, bardzo pechowy remis) i przed meczem z GFC miało do lidera pięć punktów starty oraz jeszcze dwa zaległe spotkanie w zapasie. Plan był więc bardzo prosty. Pokonać zespół z Greifswald, później zdobyć ze cztery punkty w zaległych spotkaniach i wygodnie zasiąść w fotelu lidera. Dlatego nie było wątpliwości – to jeden z najważniejszych pojedynków w najnowszej historii klubu.

Nie znoszę bezczeszczenia języka polskiego. Drażni mnie używanie słów bez znajomości ich faktycznego znaczenia (klasyczne bynajmniej jako przynajmniej). Nie cierpię też zdrobnień, które uważam za językowy gwałt (możecie mi wierzyć lub nie, ale nie chodzę do pobliskiego warzywniaka tylko dlatego, że nie jestem w stanie znieść pani sprzedawczyni notorycznie posługującej się frazami terminalik, potwierdzonko, pieniążki, dowidzonka, miłego dzionka, ziemniaczki). A czytając (lub pisząc) wystrzegam się patosu, który uznaję za delikatny przejaw grafomanii. Szczególnie jeśli rzecz traktuje o piłce nożnej – sprawie mimo wszystko blażej.

W przypadku BFC Dynamo muszę jednak trochę nagiąć swoje zasady, bo nie potrafię właściwie oddać swoich spostrzeżeń bez odrobiny patosu.

Nie mam nic do Greifswaldera FC. Mało tego – cieszę się, że przy polskiej granicy i na zupełnie piłkarskiej pustyni powstaje tak ciekawy projekt.

Przyznam jednak zupełnie szczerze, że w lidze czekam na ich pierwsze potknięcia, ponieważ w walce o awans do 3. Ligi kibicuję w tej chwili tylko BFC Dynamo.

Bo to klub, który utwierdził mnie w przekonaniu, że poszukuje futbolu autentycznego, surowego i przede wszystkim spod szyldu #againstmodernfootball.

Jeśli myślę o BFC Dynamo (o historii klubu, genezie ruchu kibicowskiego oraz o tym, jak to wszystko wygląda dzisiaj), to w głowie mam monolog Daria z jednej z ostatnich scen serialu Ślepnąc od świateł.

Nie wolno nigdy niczego udawać [...]. Trzeba wejść w prawdę. Prawda to wielkie, otwarte, piękne drzwi [...]. Przed nimi jest ogór, błoto, ale jak się wejdzie do środka, to jest się w skarbcu.

To jest najlepsza definicja klimatu panującego wokół klubu i na meczach BFC Dynamo. Jeśli chcecie zrozumieć, co mam na myśli, to polecam moje poprzednie reportaże ze spotkań Die Weinroten.

Pierwszy od upadku muru berlińskiego awans na szczybel centralny byłby wspaniałą nagrodą dla tych wszystkich, którzy po zjednoczeniu kraju nie wyrzekli się swojej tożsamości oraz wiernie trwali przy klubie, który przez szeroko pojętą opinię publiczną został skopany i przez trzy dekady pozostawał na marginesie poważnej piłki nożnej. A BFC Dynamo to przecież dziesięciokrotny, rekordowy mistrz NRD, który nie bez powodu był nazywany wschodnioniemieckim Bayernem Monachium.



Tak, jak już pisałem wiele razy – wysoka średnia wieku wśród kibiców BFC Dynamo oraz fakt, że wielu z nich zostało mentalnie przynajmniej w latach 90-tych powoduje, że na trybunach możecie jeszcze spotkać gości np. z telefonami z klasyczną klawiaturą. Naprawdę niektórzy ludzie wyglądają jak wyjęci z kapsuły czasu. Nie spotkacie już takich na ulicach. Oczywiście w ich przypadku nie ma też mowy o płaceniu kartą – w obiegu jest tylko gotówka. W związku z tym nadal nie istnieje internetowa sprzedaż biletów. Przez meczem musisz wziąć hajs, ustawić się grzecznie w kolejce do kasy i to w zasadzie jedyny sposób, żeby zaopatrzyć się w wejściówkę (chyba, że masz karnet albo przyjdiesz dzień wcześniej do klubowego biura).

Już kilka dni wcześniej było wiadomo, że mecz z GFC będzie cieszył się rekordowym zainteresowaniem kibiców w tym sezonie, dlatego stwierdziłem, że problem ewentualnych kolejek najlepiej będzie rozwiązać możliwie wczesnym meldunkiem pod klubowymi kasami.

Wydawało mi się, że dwie godziny przed pierwszym gwizdkiem to wystarczający zapas czasu, żeby szybko zgarnąć wejściówkę i spokojnie udać się jeszcze na jakieś przedmeczowe piwo. Ale ku mojemu zaskoczeniu już na 120 minut przed meczem prowadząca na stadion ulica Konrada Wolfa była dosłownie zalana ludźmi w bordowych i czarnych kurtkach. Niektórzy przyjechali tutaj prosto z pracy (to był piątek), inni są po prostu bezrobotni i na co dzień vegetują w blokowiskach wschodniego Berlina, więc spotkanie BFC to dla nich najważniejszy punkt tygodnia. Nie pozostało nic innego jak od razu otworzyć sobie piwo i grzecznie dołączyć do komitetu kolejkowego.

Sam fakt, że w Niemczech możesz to zrobić zupełnie legalnie, a później wręcz w dobrym tonie jest pieprznięcie butelki albo puszki na trawnik, bo wokół kręcą się panowie ze sklepowymi wózkami, dla których to szansa na nieco większy zarobek niż na co dzień, powoduje, że wewnątrz siebie się uśmiechasz i odczuwasz duży kontrast w stosunku do polskich standardów.

I choć była to już moja enta wizyta na meczu BFC, to dopiero pierwsza przy sztucznym oświetleniu i nie mam wątpliwości, że w erze nowoczesnych stadionów przypominających multipleksy, niewiele jest już tak klimatycznych obrazków, jak wypełnione do ostatniego miejsca, archaiczne Sportforum Hohenschönhausen skąpane w blasku jupiterów.

Z tym większym niepokojem czyta się coraz mniej optymistyczne wieści dotyczące przyszłości tego kultowego stadionu. Senat Berlina – wbrew zapisom w umowie koalicyjnej – próbuje wycofać się z planów zmodernizowania Sportforum Hohenschönhausen i dostosowania go do wymogów gry w 3. Lidze (trzeba by m. in. zainstalować podgrzewaną murawę, upgradeować moc oświetlenia do 800 luksów, a także zwiększyć pojemność, na czele z liczbą miejsc siedzących).

W zamian władze miasta podjęły decyzję, że wyremontują innego staruszka – zlokalizowany w zachodnim Berlinie Mommsenstadion, na którym swoje spotkania rozgrywa czwarta siła kibicowska w stolicy, czyli słynąca z mocno lewicujących fanów Tennis Borussia Berlin.



Ten stadion ma zostać bazą treningową podczas mistrzostw Europy, które w tym roku zorganizują Niemcy. Później, po modernizacji, będzie już spełniał wymogi trzecioligowe i BFC Dynamo – w przypadku awansu – mogłoby się tam przeprowadzić.

Oczywiście nikt (ani zarząd, ani kibice BFC) nie akceptuje takiego scenariusza. Bo Die Weinroten to klub w 100 proc. zakorzeniony we wschodniej części Berlina. Kibicują mu w zasadzie tylko ludzie wychowani albo mający genealogiczne korzenie w NRD.

Zresztą każdy, kto jest choć trochę spostrzegawczy zauważy, że fani BFC w kontekście swojego klubu oraz tożsamości lokalnej zdecydowanie częściej posługują się frazą Ost-Berlin niż Berlin. Dla nich wyprowadzka do zachodniej części stolicy byłaby tak naprawdę transferem do innego miasta. Na pewno nie czuliby się tam jak w domu.

Charakter BFC Dynamo nie pozwolił jednak na to, żeby oddać ten temat walkowerem. Kibice wypuścili specjalną petycję i zbierają podpisy popierające modernizację Sportforum.

Natomiast klub w mediach zaczął głośno opowiadać o poczuciu niesprawiedliwości oraz niespełnionych obietnicach. Dzięki wsparciu kilku lokalnych polityków udało się uniknąć rozmycia tematu i władze miasta zostały zmuszone, żeby raz jeszcze sięść do rozmów. Najbliższe tygodnie będą kluczowe dla dalszych losów stadionu, a wiele zależeć też będzie od wyników BFC Dynamo na boisku. Im piłkarze będą bliżej awansu, tym silniejszymi kartami będą grały władze klubu w negocjacjach z miastem.

Trzeba jednak pamiętać, że jest już bardzo późno, więc nawet jeśli uda się uratować Sportforum a BFC Dynamo awansuje do 3. Ligi, to prawdopodobnie i tak przynajmniej pół roku trzeba będzie spędzić na Mommsenstadion.

Zanim piłkarze zaczęli walkę o wygraną na murawie, to o odpowiednią oprawę jednego z największych hitów rundy wiosennej postarali się kibice. W młynie rozwinięto długą sektorówkę w bordowo-białych barwach, którą po bokach uzupełniło kilku fanów machających dużymi flagami na kijach.

Po chwili płótno standardowo poszło w dół, a sektor został skąpany w blasku wszelkich środków pirotechnicznych (rac, stroboskopów itd.), co w połączeniu z flagami dało konkretny efekt chaosu w klimacie ultra.

To wszystko było do bólu proste i nieskomplikowane, ale z drugiej strony idealnie wpisujące się w surowy, wręcz chropowaty klimat trybun BFC Dynamo, na których przez lata wzbraniano się przed organizacją młyna – stawiając na brytyjski styl kibicowania zdominowany przez osobników bez tzw. talentu wokalnego.

Ale w ostatnich miesiącach atrakcje w klimacie ultras stają się na meczach dziesięciokrotnych mistrzów NRD chlebem powszednim.

Po pierwsze widać, że niektóre grupy kibiców BFC Dynamo (np. Fraktion H, Banda Invicta) są totalnie wkręcone w kontakty z Pogonią Szczecin i starają się czerpać z tych relacji pełnymi garściami.

Stąd coraz większe zamiłowanie do zabawy racami oraz kopiowanie melodii z niektórych przyśpiewek charakterystycznych dla stadionu przy ul. Twardowskiego.

Po drugie udało się zażegnać mały kryzys, który nastąpił na początku ubiegłego roku, kiedy grupa zamaskowanych kibiców Energii Cottbus napadła pod domem na osobę odpowiedzialną za przechowywanie flag należących do grupy Ultras BFC.

Choć całą akcję uznano za niehonorową, to ultrasi spod szyldu UBFC musieli podjąć decyzję o samorozwiązaniu grupy po przeszło dekadzie aktywnego funkcjonowania.

W konsekwencji atmosfera na meczach BFC (jakość dopingu itd.) na jakiś czas znacznie się pogorszyła, bo nie za bardzo było wiadomo, kto ma teraz wziąć za to odpowiedzialność. Na szczęście wraz z nowym sezonem powołano do życia nową grupę o nazwie Banda Invicta, która szybko zrobiła porządek w młynie.

Komplet publiczności na Sportforum stanął na wysokości zadania i na meczu z GFC bez wątpienia doświadczyłem najlepszej jak do tej pory atmosfery na domowym meczu Die Weinroten. Szczególnie śpiewane na początku spotkania na dwie trybuny *BeeeFCee* – *Dyyynaamoo* robiło wrażenie. Głośny doping ewidentnie nakręcił też samych zawodników, którzy na początku meczu dosłownie rzucili się na lidera tabeli, a po kolejnych udanych akcjach wymownymi gestami rękoma dawali znać publiczności, że bardzo potrzebują takiego wsparcia. A gdy te wszystkie koksy momentalnie podnosiły się z miejsc i w eter szło spontaniczne *Dynamo, Dynamo* to stary stadion prawie trząsł się w posadach.

Niestety w pierwszej połowie gospodarze nie wykorzystali swojej przewagi i nie zdobyli gola, natomiast w drugiej Greifswalder FC otrząsnął po początkowym kryzysie i zaczął coraz groźniej atakować. Ale im bliżej było końca spotkania, tym kibice – zamiast ładnych akcji – oglądali coraz więcej brzydkich fauli i wzajemnych pyskówek.

Atmosfera na murawie gęstniała, a sędzia nie potrafił na tym zapanować.

Remis 0:0 nikogo nie zadowolił.

Dwa słowa należy też poświęcić kibicom gości, którzy przyjechali do Berlina w bardzo dobrej liczbie 300 osób.

Mieli ze sobą sporo flag (zarówno na płot, jak i na kijach), ale wokalnie nawet nie próbowali się przebić przez gospodarzy.

Tak naprawdę to momentami w ogóle można było zapomnieć o ich obecności, ponieważ sektor gości znajduje się na łuku i bardzo daleko od murawy. Poza tym nie dochodzi tam światło z jupiterów, więc przy wieczornych meczach kibice drużyn przyjezdnych stoją w zasadzie w całkowitej ciemności. Nawet trudno im zrobić dobre zdjęcie.

Ruch kibicowski w Greifswaldzie dopiero raczkuje. Kumaci kibice przestali przychodzić na mecze ok. dwie dekady temu, kiedy nie zaakceptowali kolejnej fuzji i ciągłego zmieniania nazwy klubu. Skupili się wówczas tylko na dopingowaniu Hansy Rostock. Ale sportowe sukcesy zawsze generują większe zainteresowanie kibiców, dlatego w ostatnim czasie znowu pojawiły się próby stworzenia młyna i zorganizowanego dopingu na meczach GFC, za które odpowiada młodzież zrzeszona pod szyldem Greifswalder Jungs.

Post scriptum 12/2024: Finalnie okazało się, że obie drużyny pogodziło Energie Cottbus i to ten klub w poprzednim sezonie wywalczył bezpośredni awans do 3. Ligi.

BFC Dynamo i Greifswalder FC natomiast nadal występują na poziomie Regionalligi Nordost i w momencie aktualizacji tego tekstu nic nie wskazuje na to, żeby miały się włączyć do walki o możliwość gry w barażach o awans do 3. Ligi.



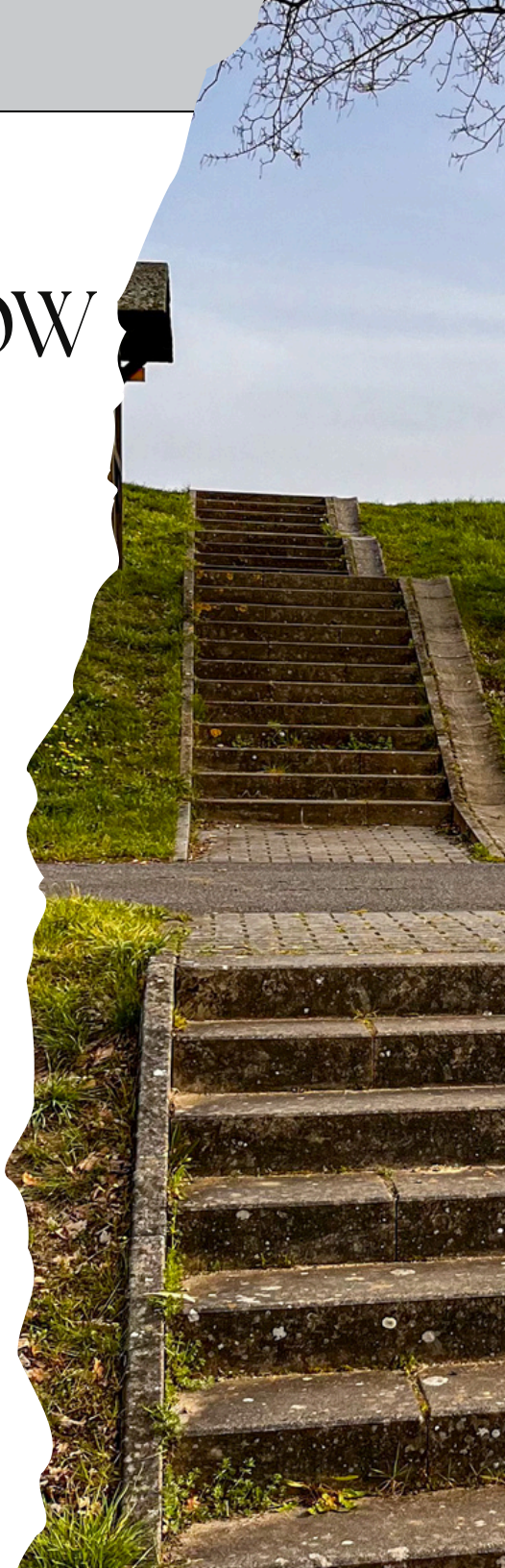
SCHODY DYPLOMATÓW

Jeśli oglądaliście kultowy serial "Alternatywy 4", to z pewnością kojarzycie odcinek, w którym blok administrowany przez Stanisława Anioła odwiedza delegacja z państw tzw. trzeciego świata. I choć cała akcja kończy się sabotażem ze strony mieszkańców, to poprzedzają ją żmudne przygotowania - np. prowizoryczne utwardzenie gruntu, żeby goście nie utonęli w błocie.

Stanisław Bareja oczywiście słynął z przejawiania socjalistycznej rzeczywistości, ale w bloku wschodnim naprawdę istniały inwestycje, które powstawały w dziwnych miejscach i dziwnych okolicznościach. Tylko na pokaz, z myślą o jednym krótkim wydarzeniu.

Jednym z przykładów są "Diplomatentreppe", czyli tzw. Schody Dyplomatów. To miejscówka zlokalizowana w byłej NRD - na lewym, niemieckim brzegu Odry. Mniej więcej w połowie drogi z Kostrzyna do Frankfurtu nad Odrą. Na wysokości polskiej miejscowości Górzycy.

Na początku lutego 1945 r. to właśnie w tym miejscu przez Odrę przepłynęły się pierwsze oddziały Armii Czerwonej, a wzniesienie okalające pobliską wioskę Reitwein w kwietniu 1945 r. stało się z kolei głównym miejscem dowodzenia Georgija Żukowa, który stąd wydawał rozkazy podczas słynnej bitwy o wzgórze Seelow.





Te malownicze pagórki - jako ostatnia naturalna przeszkoda przed stolicą Niemiec - były nazywane bramą do Berlina. Ich zdobycie definitywnie przesądziło o losach wojny, natomiast w lesie pod Reitwein nadal znajdują się pozostałości bunkra Żukowa.

W NRD - podobnie jak w PRL - wszelkie działania Armii Czerwonej były oczywiście bezrefleksyjnie gloryfikowane i uważane za wyzwolenicze. W związku z tym każdy kwiecień wiązał się z uroczystościami państwowymi. W 1985 r. postanowiono je nieco podkręcić i na 40-lecie zaproszono 40 przedstawicieli misji dyplomatycznych (ambasadorów itd.). Zdecydowano, że fajnie będzie im pokazać dokładnie to miejsce, w którym pierwsze oddziały Armii Czerwonej przeprawiły się do Reitwein.

Problem polegał na tym, że było to miejsce dość trudno dostępne - dzięki i naturalne. Odra na tym odcinku z obu stron jest "obudowana" groblami. Wiosną wylewa, więc bywa tutaj mokro i grząsko.

Podjęto więc decyzję o budowie betonowych schodów prowadzących na szczyt grobli, żeby zagraniczni oficjele nie pobrudzili sobie eleganckich butów oraz garniturów. W pierwotnej wersji schody wyglądały - nie przymierzając - jak z klatki schodowej w bloku z płyty.

Po wielkiej powodzi w 1997 r. wał nad Odrą przebudowano i siłą rzeczy nieco zmodernizowano też same schody. Z czasem stały się czymś w rodzaju atrakcji turystycznej, choć jeszcze w latach 80-tych - już po całym "evencie" - pojawiały się głosy, że można je już rozebrać, bo na tym wygwizdowie nie będą nikomu potrzebne. Ale ze schodami było jak z plakatami wyborczymi po wyborach. Ich los już nikogo nie obchodził.

Dzisiaj ten teren zagospodarowano turystycznie. Tędy prowadzi m. in. szlak rowerowy Odra-Nysa, a schody pomagają dostać się na szczyt grobli. Stoi nawet tablica informacyjna, choć - co ciekawe - jest zrobiona z błędem i datuje budowę schodów na dziesięć lat wcześniej (1975 r.)



**SKĄD WŁAŚCIWIE
WZIĘŁO SIĘ
WOJ. LUBUSKIE?**

Województwo lubuskie - jak już kiedyś pisałem - jest najbardziej tajemniczym i najmniej odkrytym regionem Polski. I nie chodzi mi tylko o samą "zawartość" ukrytą w gęstych lasach, ale także chociażby toponimię. Bo nazwy większości polskich województw są oczywiste nawet dla przeciętnego ucznia z podstawówki. Albo pochodzą od głównego ośrodka miejskiego w okolicy (Opole, Lublin, Łódź), albo od oczywistej krainy geograficznej (Śląsk, Małopolska, Pomorze, Warmia, Podlasie itd.).

A skąd wzięło się woj. lubuskie?

Jest to przede wszystkim efekt trudnych poszukiwań własnej tożsamości po 1945 r. i zlepienia regionu, który geograficznie należy do kilku krain historycznych, m. in. Dolnych Łużyc, Wielkopolski czy Dolnego Śląska.

Najbardziej jaskrawym przykładem tego miszmaszu jest nadana po wojnie kompletnie bez sensu nazwa Gorzów Wielkopolski. Bo to miasto z Wielkopolską nie ma nic wspólnego. Po prostu po 1945 r. na kilka lat sztucznie doklejono je razem z Zieloną Górą do gigantycznego województwa poznańskiego. Zdecydowanie bardziej adekwatny był pierwotny pomysł kontynuowania niemieckiego nazewnictwa i zastąpienie Landsberg an der Warthe - Gorzowem nad Wartą. Można by o tym jeszcze wiele napisać, ale ad rem.

W 1998 r. przyjęto nazwę woj. lubuskie, żeby budować tożsamość na jedynej krainie historyczno-geograficznej, która nie rozlewa się na inne województwa, czyli Ziemi Lubuskiej. Brzmi to zdecydowanie zgrabniej chociażby od Środkowego Nadodrza.

Ziemia Lubuska to kraina historyczna, która dzisiaj jest mniej więcej po równo podzielona pomiędzy Polskę i Niemcy.

Po naszej stronie - z historycznego punktu widzenia - stricte przynależne do Ziemi Lubuskiej są m. in. Kostrzyn, Słubice, Rzepin czy Sulęcín. Najważniejszym miastem i stolicą tego regionu przez wieki była jednak miejscowość Lubusz. Aktualnie to niemieckie miasteczko Lebus - leżące już na zachodnim brzegu Odry.

Dzisiaj, przejeżdżając przez tę niewielką i senną miejscowość, zapewne niewiele osób zdaje sobie sprawę, jak bogatą historią ma Lebus i, że to właśnie od tego miasta wzięła się nazwa polskiego województwa lubuskiego.

Lubusz od czasów Mieszka I należał do Polski (łącznie mniej więcej przez dwa i pół wieku) i w kronikach był nazywany "kluczem do Królestwa Polskiego" jako pozycja strategiczna - pierwsza linia obrony naszych granic, jeszcze na zachodnim brzegu Odry. O dużym znaczeniu świadczyło też powołanie tutaj przez Bolesława Krzywoustego diecezji lubuskiej w celu chrystianizacji okolicznych Słowian.

Późniejsze rozbieżności dzielnicowe w państwie Piastów oraz odwieczna chęć niemieckiej ekspansji na wschód spowodowały jednak, że w drugiej połowie XIII w. Lubusz już na zawsze wypadł spod polskiego panowania, a poza tym mocno stracił na znaczeniu na rzecz np. Frankfurtu nad Odrą.

Warto jednak dodać, że życie kwitło tutaj jeszcze na długo przed panowaniem Mieszka I.

Bo w 2003 r. w Lebus znaleziono łącznie 22 kg artefaktów z epoki brązu.

Przede wszystkim toporów, ale także pierścieni i fragmentów miecza. "Skarb z Lebus" można na co dzień oglądać w Muzeum Archeologicznym w Brandenburgu nad Hawelą.

Dzisiaj Lebus liczy zaledwie nieco ponad 3 tys. mieszkańców i jest sennym, ale ciekawie położonym miasteczkiem - wciśniętym pomiędzy malownicze pagórki a Odrę. W ścisłym centrum uwagę przykuwa brak zwartych zabudowy. To efekt wydarzeń z 1945 r., kiedy Lebus ucierpiało w trakcie forsowania Odry i bitwy o wzgórze Seelow.

Aktualnie miasteczko cierpi też w aspekcie piłkarskim. Futbol w Lebus w drugiej połowie lat 40-tych rodził się w warunkach skrajnie chałupniczych. W kronikach można przeczytać, że pierwsze mecze rozgrywano na okolicznych łąkach, a piłki robiono z gumy i szmat.

A gdy SG Lebus (pod taką nazwą grano w czasach NRD) w końcu wystartował w rozgrywkach ligowych, to piłkarze biegali po boiskach w najprostszych koszulkach kupionych na czarnym rynku w Berlinie, które potem zostały tylko delikatnie podkreślone w lokalnym zakładzie krawieckim.

Mimo trudnych początków SG Lebus w latach 1978-1983 przez pięć sezonów z rzędu grał we frankfurckiej Lidze Okręgowej (wówczas trzeci poziom rozgrywkowy). Wtedy miał okazję rywalizować z rezerwami dwóch znanych klubów piłkarskich, których pierwsze zespoły meldowały się nie tylko w DDR-Oberlidze, ale także europejskich pucharach.

Abschlußtabelle der Männer-Fußball-Kreisklasse		
1. Traktor Falkenhagen I	100:42	37:15
2. Traktor Marxwalde I	97:71	32:19
3. Traktor Golzow I	73:59	33:19
4. Traktor Podelzig I	77:63	31:21
5. Traktor Letschin III	53:51	30:22
6. SG Lebus I	68:52	29:23
7. Traktor Sachsendorf I	70:65	29:23
8. Traktor Trebnitz I	66:63	26:26
9. Traktor Gorgast I	51:51	26:26
10. Lok Kietz I	41:62	21:31
11. Traktor Diedersdorf I	47:70	21:31
12. Traktor Manschnow I	43:59	20:32
13. Traktor Boosen I	60:85	17:35
14. Traktor Dolgelin I	48:101	11:41
Jugend-Kreisklasse		
1. Traktor Podelzig	27:1	49:17
2. Traktor Golzow	23:5	37:8
3. Traktor Boosen	22:4	32:13
4. Traktor Diedersdorf	19:7	24:18
5. Traktor Lietzen	16:8	8:4
6. Traktor Marxwalde	14:10	29:15
7. Traktor Gorgast	14:12	13:17
8. SG Lebus	11:11	17:21
9. Traktor Trebnitz	9:18	12:40
10. Traktor Dolgelin	8:16	21:28
11. Traktor Manschnow	6:14	12:32
12. Traktor Sachsendorf	6:18	14:10
13. Traktor Kienitz	5:19	4:43
14. Lok Kietz	3:17	13:13
15. Traktor Falkenhagen	1:23	16:22

Chodzi oczywiście o Vorwärts Frankfurt i Stahl Eisenhüttenstadt.

Wcześniej, grając w rozgrywkach bardziej lokalnych, SG Lebus występował w lidze, w której zdarzały się sezony, że poza kolejowym LOK-kiem Kietz (w Kietz jest kolejne przejście do Kostrzyna), grały tylko rolnicze kluby występujące pod nazwą Traktor (powstawały przy lokalnych PGR-ach). Bywało więc tak, że skład miejscowej Kreisklasse za czasów NRD tworzyły SG Lebus, LOK Kietz i 14 różnych Traktorów. Aktualnie można stwierdzić, że klub (już jako Blau-Weiss Lebus) wrócił do punktu wyjścia, ponieważ gra na pełnych futbolowych peryferiach, w 10. lidze. W 2018 r. musiał połączyć się z zespołem z sąsiedniej wioski Podelzig, żeby w ogóle móc dalej egzystować. Siłą rzeczy mecze ligowe są podzielone pomiędzy dwie miejscowości, więc kibice z Lebus często muszą dojeżdżać nawet na domowe spotkania swojej drużyny.



Lebens

**CZY W GUBINIE
MOGŁA BYĆ
2. BUNDESLIGA?**

20.04.2024 Karte **40**

Kreisoberliga • 12.30 Uhr
1. FC Guben II – Kahrener SV 03

Landesliga Süd • 15.00 Uhr
1. FC Guben – SG Phönix Wildau 95

Gesamtpreis
4.00 €

Druckerei
Legler

☎ 03561/2467



Architektura polskiego, przygranicznego Gubina jest trochę jak ulubiony kebab popularnego youtubera Książuła - "mieszana, mieszana". Problem polega jednak na tym, że ta mieszanina może niektórych przyprawić o niestrawności. Nastawiane na łapu capu bękarty z okresu PRL oraz pierwszych lat dzikiego kapitalizmu mieszają się tutaj z nielicznymi pozostałościami po pięknym Guben sprzed 1945 r., które przeszło do historii razem z rajdem Armii Czerwonej.

Neony, papierosy, paliwo, spożywką, tańszy McDonalds. Gubin bez kompleksów może zbić pionę ze swoimi bliźniakami ze Słubic i Kostrzyna. Co prawda nie do końca jednojajowymi, bo w Gubinie stawia się przede wszystkim na fryzjerstwo oraz sprzedaż np. bram i ogrodzeń - kosztem chociażby bardzo popularnych w Słubicach tzw. klubów dla dżentelmenów - ale generalnie szeroko pojęta przygraniczna specjalność zakładu pozostaje dokładnie taka sama.

W Gubinie koniecznie trzeba przyjechać na Plac Katedralny. Wtedy od razu zrozumiecie klimat i historię tego miasta. Nie wiem, co w tym miejscu robi większe wrażenie. Imponujące, wypalone w środku ruiny późnogotyckiego kościoła farnego, które pełnią funkcję zabytku w formie tzw. ruiny trwałej, czy może otoczenie w jakim się znajdują. To odbudowany po wojnie ratusz oraz... wianuszek z bloków z wielkiej płyty. K*rwą - z jednej strony nic tutaj do siebie nie pasuje, a z drugiej jest to zrobione tak bardzo po polsku...

Trzeba też oddać, że wokół jest sporo pustych przestrzeni, które przez dekady po wojnie mniej lub bardziej celowo zamieniły się w zielone skwerki i parki.

Za czasów słusznie minionych miasto słynęło przede wszystkim z zakładów obuwniczych "Carina", które w szczytowym momencie zatrudniały nawet 2000 osób. To stąd wzięła się nazwa miejscowego klubu piłkarskiego Carina Gubin oraz dopingującej go grupki kibiców - "Ultras Obuwnicy". Dzisiaj zakłady już dawno nie funkcjonują, ale w woj. lubuskim bardzo popularne jest przywiązanie do byłych patronów - nawet jeśli te firmy już nie istnieją albo od dawna nie sponsorują danego klubu (Carina, Stilon, Falubaz, Dozamet).

Carina Gubin aktualnie przeżywa najlepszy okres w historii i jest jednym z trzech najsilniejszych klubów w województwie, co z drugiej strony nie jest przesadnie wielkim osiągnięciem w lubuskim, które jako jedyne województwo w Polsce nigdy nie miało swojego przedstawiciela w ekstraklasie. Carina w tym sezonie gra w III lidze (powinna się utrzymać) i przede wszystkim dotarła aż do 1/8 finału Pucharu Polski (porażka 2:5 z Piastem Gliwice). W Gubinie marzyli o próbie powtórzenia sukcesu krajan z nieodległych Czarnych Żagań, którzy - jako trzeciogowiec - w 1965 r. dotarli do finału Pucharu Polski. Tam co prawda sromotnie przegrali z Górnikiem Zabrze, ale z racji tego, że zespół z Górnego Śląska sięgnął wtedy po podwójną koronę, to Czarnym przysługiwało prawo startu w europejskich pucharach.

Ostatecznie ich występ w Pucharze Zdobywców Pucharów został zablokowany. Władza bała się kompromitacji sportowej oraz przede wszystkim wizerunkowej. Władysław Gomułka zakładał, że jeśli grupa amatorskich piłkarzy (wojskowych z Żagania) wyjedzie na zachód Europy, to już stamtąd nie wróci.



Nysa Łużycka swoim rozmachem nie ma podjazdu do potęgi kapryśnej Odry, którą człowiek od wieków próbuje ujarzmić kolejnymi kanałami i polderami. Dlatego przejazd krótkim mostkiem z Gubina do Guben jest naprawdę symboliczny. Jeśli ktoś nie wie, że tutaj przebiega granica, to w zasadzie nie ma szans tego zauważyć. Szczególnie że miejscowa policja jest mniej upierdliwa od tej we Frankfurcie nad Odrą, która wyrywkowo ściąga auta przyjeżdżające ze Słubic (choć tych z literą F w rejestracji raczej nie tyka - FF to Frankfurt, FSL to Słubice).

Po 1945 r. historyczne centrum Guben zostało po polskiej stronie i stało się Gubinem. A Niemcy dostali tylko kilka starych uliczek wokół kościoła klasztorowego. Trzeba jednak przyznać, że dzisiaj to ich część miasta wygląda zdecydowanie lepiej. Odnowiono w zasadzie wszystkie kwartały starych kamienic i choć architektonicznie nic tutaj nie powala na kolana, to spacer po starej części Guben jest przyjemnością. I przede wszystkim odpoczynkiem dla oczu po wizycie w pstrokatym Gubinie.

Trafnie opisał to swoim reportaży w "Dużym Formacie" Ziemowit Szczerek. "A po niemieckiej stronie - upiorność i nuda wyczyszczonego do trumny trupa. Wszyscy zwiewają stąd na zachód, ale zostawiają umyte okna i pozamiatane ulice. A państwo dodatkowo stroi tego trupa w nowe bruki i tynki."

Coś w tym jest, bo dzisiaj Guben i Gubin solidarnie liczą po ok. 16 tys. mieszkańców. Powierzchniowo Guben jest jednak przeszło dwa razy większe! Rozrosło się oczywiście za czasów NRD i jeszcze w latach 80-tych miało ponad 36 tys. stałych meldunków. Wszystko za sprawą otwartych w latach 60-tych wielkich zakładów produkcji włókien chemicznych, które w szczytowym momencie zatrudniały nawet 8 tys. pracowników. Ich przyjazd spowodował, że na przedmieściach Guben wyrosły nie tylko zakłady przemysłowe, ale także mnóstwo nowych osiedli złożonych z prefabrykowanych bloków. Po upadku NRD firma się rozsypała i rozdrobniona trafiła w ręce różnych prywatnych przedsiębiorstw (m. in. polskiej Grupy Azoty). Skala zatrudnienia zmalała.

Guben od XIX wieku aż do upadku muru berlińskiego słynęło również z produkcji kapeluszy.

Przez pewien okres pochodzące stąd nakrycia głowy nosiły prawie całe Niemcy, a ich sława była w zasadzie ogólnosiwiatowa. Interes rozkręcił się w 1854 r., kiedy Carl Wilke wynalazł wodoodporny wełniany kapelusz z filcu, który stał się absolutnym hitem. Dzisiaj w Guben istnieje muzeum oraz rondo z pomnikiem kapelusza.

Od 1961 do 1990 r. miasto nosiło nazwę Wilhelm-Pieck-Stadt Guben na cześć pierwszego i jedyne go prezydenta NRD Wilhelma Piecka, który urodził się w 1876 r. na prawym brzegu Nysy Łużyckiej (czyli na terenie dzisiejszego, polskiego Gubina; konkretnie mieszkał przy ul. Różanej). Co ciekawe Pieck do 1990 r. patronował nie tylko Guben, ale także chociażby jednemu z ogólniaków w Katowicach.

Miejscowy futbol za czasów NRD był oczywiście finansowany przez chemiczny kombinat. Na początku lat 60-tych (wtedy powstały zakłady) miejscowy BSG Fortschritt Guben zmienił się w BSG Chemie Wilhelm-Pieck-Stadt Guben i w miasteczku nad Nysą Łużycką z czasem zaczęto myśleć o tym, żeby skopiować sukces sąsiadów z pobliskiego, przemysłowego Eisenhüttenstadt.

Tam miejscowa BSG Stahl została napompowana pieniędzmi z wielkiej huty stali (oraz oferowała piłkarzom nowe, przestronne mieszkania) i spędziła trzy sezony w DDR-Oberlidze, dotarła do finału krajowego pucharu oraz nawet zagrała z Galatasaray Stambuł dwumecz w europejskich pucharach!

Ostatecznie Chemicy z Guben nigdy nie zawitali do DDR-Oberligi, ale - podobnie jak sąsiedzi z Eisenhüttenstadt - mieli swoje momenty chwały na przełomie lat 80 i 90-tych, kiedy w NRD zwijano już interes. Chemie łącznie spędziło trzy sezony w DDR-Lidze, czyli na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej, a zdecydowanie najbardziej pamiętny był ten ostatni - 1990/1991, który był zarazem system kwalifikacyjnym do poszczególnych lig już w zjednoczonych Niemczech.

Chemie swoją grupę ukończyło na 2. miejscu, zaledwie punkt za Unionem Berlin. To oznacza, że drużyna z Guben była o punkt od udziału w turnieju barażowym o grę... w 2. Bundeslidze!

Później wszystko rozleciało się jak domek z kart. Za czasów NRD piłkarze byli zatrudnieni na etatach w zakładach chemicznych i w nowej rzeczywistości oczywiście wszyscy zostali zwolnieni. Pienędzy nie było, więc praktycznie każdy ruszył szukać swojego szczęścia na zachodzie świeżo zjednoczonego kraju. Chemie nie wystartowało w Oberlidze (3. poziom), tylko zleciało o kilka klas rozgrywkowych niżej. Zaczęła się ciężka walka o przetrwanie na peryferiach poważnej piłki nożnej. Po sukcesie w 1991 r. zespół z Guben nie wziął nawet udziału w rozgrywkach centralnego Pucharu Niemiec, choć wcześniej przebrnął przez całe kwalifikacje.

Po upadku NRD frekwencja na trybunach spadła z 2000 do 200 widzów. A jeszcze ligowy mecz z Unionem Berlin w 1991 r. oglądało na stadionie w Guben nawet 3400 kibiców.

Dzisiaj klub nazywa się 1. FC Guben i jest średniakiem w Landeslidze, czyli na siódmym poziomie rozgrywkowym.



Trzeba przyznać, że jak na warunki przygraniczne klub robi bardzo dobre wrażenie pod kątem infrastruktury i całego opakowania. Kompleks Sportzentrum (za czasów NRD nazywający się Sportanlage der Chemiewarbeiter) to łącznie cztery boiska. Dwa główne (jedno ze sztuczną nawierzchnią) są całkowicie zmodernizowane.

Myślę, że w Polsce wielu pierwszoligowców bierze taką bazę z pocałowaniem ręki.

Mnie najbardziej podoba się jednak sam meczowy klimat - tutaj czuć, że spotkanie jest świętem dla lokalnej społeczności. Bilet kosztuje 4 euro i z reguły jest przepustką na cały dzień piłkarskich emocji, ponieważ najpierw grają rezerwy, a później pierwszy zespół. Sama wejściówka jest dedykowana na poszczególną kolejkę - z wyszczególnieniem, kto i o której danego dnia wyjdzie na boisko. W kasie otrzymałem również propozycję kupna miękkiego poddupnika z klubowym herbem.

Kolejna miła niespodzianka czeka w klubowej restauracji, którą prowadzi polskie małżeństwo. Piwo nalewa mi sympatyczna Pani Grażynka, która jednocześnie przeprasza, że tak długo muszę czekać, ale ruch w interesie jest na tyle duży, że jeszcze przed pierwszym gwizdkiem w meczu pierwszej drużyny z SG Phönix Wildau trzeba wymienić beczkę.

W czasie, gdy przy barze trwa nierówna walka z pianą, robię rundkę po lokalu i podziwiam artefakty ze złotych czasów.

Na ścianie wisi m. in. plakat meczowy ze spotkania z Hansą Rostock w DDR-Lidze w 1987 r.

Zauważam, że już wtedy w Guben funkcjonował zwyczaj poprzedzania meczu pierwszej drużyny spotkaniem rezerw.

Piwo dostaje w dedykowanym kubku 1. FC Guben i wtedy jeszcze raz sprawdzam, czy na pewno jestem na 7. Lidze. Takie gadżety to rzadkość nawet w polskiej ekstraklasie.

W międzyczasie pod knajpą dochodzą kielbaski na grillu, zza chmur wychodzi słońce, a gospodarze już w pierwszym kwadransie pakują dwie niebrzydkie bramki. W ten weekend cały piłkarski świat żył Gran Derbi (którego wyniku w sumie do dzisiaj nie znam), a ja byłem w Guben. Miałem nawet moment refleksji, że podczas cotygodniowych rozmów z kolegami na poniedziałkowej "piłce" w zasadzie tylko przytakuje jak głupek, bo nawet nie znam nazwisk tych wszystkich piłkarzy z Anglii czy Hiszpanii. Ale cóż - taka jest moja prawda futbolu. Nic wbrew sobie.

Południowa grupa Landesligi jest atrakcyjna nie tylko ze względu na klimat oraz historię 1. FC Guben, ale także ze względu na inne bardzo ciekawe kluby, które w niej rywalizują. FC Eisenhüttenstadt to kontynuator tradycji wcześniej wymienionej Stahli, która grała w europejskich pucharach. Interesującą historię ma również walczący o utrzymanie się FSV "Glückauf" Brieske/Senftenberg, który za czasów NRD pod nazwą Aktivist spędził aż 13 sezonów w DDR-Oberlidze (ekstraklasa) i został m. in. wicemistrzem kraju. W latach 60-tych drużyna została przeniesiona do Chociebuża, gdzie później powstało Energie Cottbus. U schyłku NRD, kiedy klub nazywany kiedyś - z racji na swoje górnicze tradycje - "Schalke ze wschodu" wrócił do w miarę poważnej piłki, to gole w jego barwach strzelał Marian Janoszk.

Do niedawna w Landeslidze odbywały się też... derby Gubina, bo jeszcze w poprzednim sezonie w 7. Lidze grał drugi klub z miasta, czyli BSV Guben Nord, który ostatnio musiał niestety przełknąć gorycz spadku na ósmy poziom rozgrywkowy.

BSV Guben Nord to tak naprawdę klub dzielnicowy, a być może nawet lepszym określeniem byłby przymiotnik "wiejski". BSV ma swoją siedzibę w Gross Breesen, czyli niegdyś samodzielnej miejscowości, która w 1950 r. została przyłączona do Guben. Jest jednak oddalona od centrum miasta o kilka dobrych kilometrów i zachowała swój odrębny, wiejski charakter.

BSV (czyli Breesener Sport Verein) jest ważny dla mieszkańców Gross Breesen. Klub "widać" na ulicach poprzez plakaty meczowe i drogowskazy kierujące na stadion. Frekwencja na spotkaniach bywa trzycyfrowa, a na pojedynki derbowe z 1. FC Guben przychodziło nawet po tysiąc osób. Za czasów NRD klub funkcjonujący wówczas pod nazwą Traktor mógł tylko pomarzyć o takich wynikach, jakie na przełomie lat 80 i 90-tych osiągało Chemie Guben, ale po zjednoczeniu Niemiec karta się odwróciła. To BSV Guben Nord często grał w wyższej lidze od lokalnego rywala, który przez lata cierpiał po upadku zakładów chemicznych.

Reasumując - Guben i Gubin jawią się jako mekka dla groundhopperów. Na miejscu są trzy ciekawe kluby: Carina, 1. FC Guben i BSV Guben-Nord, a zaledwie kawałek dalej jedyne i niepowtarzalne Eisenhüttenstadt.



Logo 1. FC Guben za czasów NRD.



GUBEN/GUBIN





*Historia wyjątkowego
piłkarskiego turnieju
z czasów NRD.*

Złotego pociągu nadal nie znaleziono, ale za to bez problemu można namierzyć... złoty traktor.

Swego czasu pisałem o najgorszej drużynie wszech czasów DDR-Oberligi, czyli BSG Motor Suhl, dla której awans do najwyższej klasy rozgrywkowej był tak niespodziewany, że domowe mecze trzeba było transmitować z mieszkania w jednym z pobliskich bloków, bo klub infrastrukturalnie nie był gotowy na występy w elicie.

Tym razem przyjrzymy się natomiast najgorszemu zespołowi w tabeli wszech czasów DDR-Ligi, czyli zaplecza najwyższej klasy rozgrywkowej. Gwoli ścisłości - to "zaszczytne miano" należy do dwóch klubów: BSG Lokomotive Meiningen i BSG Traktor Gross-Lindow. Obie te drużyny rozegrały w DDR-Lidze tylko po jednym sezonie i zdobyły w tym czasie zaledwie po dwa punkty!

Oficjalnie na niższej pozycji w tabeli wszech czasów (198. miejsce) sklasyfikowane jest Lokomotive, ponieważ ma gorszy bilans bramkowy od Traktora (10:97 do 19:79), ale to historia sklasyfikowanego na 197. pozycji zespołu z Gross Lindow jest ciekawsza.

Po pierwsze dlatego, że Gross Lindow to mała wioska. Aktualnie mieszka tutaj nieco ponad 1700 mieszkańców. A w latach 70-tych, kiedy BSG Traktor na jeden sezon zameldował się w DDR-Lidze, nie było ich nawet 1500.

Dlatego niezależnie od tego, jak wyglądał ten rok na zapleczu elity, już sam awans do niej był wielkim sukcesem dla tej niewielkiej społeczności.

Po drugie zespół z Gross-Lindow to jedyny klub w historii DDR-Ligi, który nigdy nie wygrał w tych rozgrywkach ani jednego meczu.

Dwa zdobyte punkty były wynikiem dwóch remisów, natomiast na dwa oczka wywalczone przez BSG Lokomotive Meiningen składało się jedno zwycięstwo (wówczas za wygraną przyznawano tylko dwa punkty).

Gross Lindow to miejscowość zlokalizowana mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Frankfurtem nad Odrą a Eisenhüttenstadt. Położona nad kanałem Fryderyka Wilhelma, który był pierwszą drogą wodną łączącą Odrę ze Sprewą. Zbudowano go już w XVII w. i przez 200 lat był najważniejszym wodnym połączeniem pomiędzy Wrocławiem, Berlinem i Hamburgiem.

Później osiągnął maksimum swojej przepustowości i został odciążony przez nowy kanał Odra-Sprewa, który przekopano nieco bardziej na południe.

Dzisiaj okolice starego kanału to przede wszystkim raj dla rowerzystów. A samo Gross-Lindow - zgodnie z etymologią swojej nazwy (linde - lipa) - jest schowane w lipowym lesie. W skrócie: cisza i spokój.

Można powiedzieć, że nawet trochę koniec świata, o którym zdarzyło się zapomnieć rządzącym za czasów NRD.

Bo tuż za Gross Lindow znajduje się malutka wioska Kaisermühl, która kilkaset lat temu powstała jako niewielkie osiedle przy młynie wodnym. Jej nazwa w dosłownym tłumaczeniu na język polski oznacza "Cesarski Młyn".

Po 1945 r. stało się to problemem, ponieważ nowa władza za wszelką cenę chciała się odciąć od jakichkolwiek tradycji związanych z monarchią, więc sama tworzyła Stalinstadty i Karl-Marx-Stadty. Przyszło więc oficjalne pismo, żeby zmienić nazwę na bardziej poprawne Neu-Mühle. Mieszkańcy wywalili je do kosza, władza o tym zapomniała i Cesarski Młyn przetrwał aż do dzisiaj w niezmienionej formie.

Nazwy BSG Traktor za czasów NRD otrzymywały wiejskie i małomiasteczkowe kluby, które powstawały przy lokalnych PGR-ach albo innych państwowych zakładach związanych np. z produkcją maszyn rolniczych.

Za czasów NRD zespołów, które nosiły nazwę "Traktor" mogło być nawet 2000. W większości były to skrajnie prowincjonalne drużyny, o których nikt już dzisiaj nie pamięta. Ale zdecydowanie najlepszym Traktorem w dziejach nrdowskiej piłki jest właśnie ekipa z Gross-Lindow.

Po pierwsze - w 1967 r. wygrała ogólnokrajowy turniej o "Złoty Traktor" (Goldenen Traktor), w którym wystartowały wszystkie możliwe "Traktory" w NRD. W wielkim finale pokonała BSG Traktor Werben z Saksonii-Anhalt 2:0. 50 lat później (w 2017 r.) obie drużyny rozegrały nawet mecz towarzyski, żeby uczcić ten okrągły jubileusz (znowu wygrali piłkarze z Gross Lindow, tym razem 7:4). Zarówno w Gross-Lindow (puchar w formie złotego traktora), jak i w Werben (srebrny traktor) trofea z tamtego turnieju w latach 60-tych zajmują honorowe miejsca w klubowych gablotach.

Po drugie - zespół z Gross Lindow to jedyny "Traktor" w dziejach, który za czasów NRD dotarł do jednej z dwóch najwyższych lig w kraju (do DDR-Ligi).

I zaledwie jedna z sześciu wsi, która miała swojego przedstawiciela na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej.

BSG Traktor Gross Lindow awansował do DDR-Ligi po wygraniu Ligi Okręgowej Frankfurt nad Odrą (Bezirksliga) w sezonie 1976/1977. Był to awans zasłużony, ponieważ zespół strzelił wtedy prawie 90 bramek i wygrał 20 z 26 meczów.

Przeskok do DDR-Ligi okazał się jednak bardzo bolesny. W sezonie 1977/1978 BSG Traktor był w swojej grupie dostarczycielem punktów. Zero wygranych, dwa remisy, 20 porażek.

Bilans bramkowy 19:79. W efekcie oczywiście ostatnie miejsce.

Po punkcie (remisy 1:1) udało się wywalczyć w meczach z BSG Chemie PCK Schwedt oraz drugim ze spadkowiczów BSG Motorem Hennigsdorf. Na wyjazdach przydarały się porażki 0:5, 1:9 czy nawet 1:10. Przed własną publicznością udało się jednak dzielnie powalczyć np. z późniejszym uczestnikiem europejskich pucharów - Stahlg Eisenhüttenstadt i po zaciętym spotkaniu przegrać tylko 2:3.

W tamtym sezonie średnia widzów na kameralnym obiekcie w Gross Lindow oscylowała wokół 700 widzów, co oznacza, że popisy Traktora w DDR-Lidze oglądała średnio połowa ówczesnej populacji całej miejscowości.

Mimo wszystkich okoliczności ten jeden sezon na zapleczu elity wspomina się w Gross Lindow z sentymentem i uznaje za największy sukces w historii sportu w tej miejscowości. Warto podkreślić, że choć sam awans był sporą niespodzianką, to BSG Traktor na poziomie Bezirksligi (3. Liga) nie był chłopcem do bicia. Zespół z Gross Lindow rozegrał na tym poziomie prawie 20 sezonów i znajduje się w czółowej dziesiątce tabeli wszech czasów okręgu Frankfurt nad Odrą.

Po upadku NRD BSG Traktor zmienił nazwę na SV Blau-Weiss Gross Lindow 1909, a w 2018 r. musiał połączyć się z zespołem z sąsiedniej miejscowości Finkenheerd, żeby jakoś uporać się z niekorzystną sytuacją demograficzną w regionie. Aktualnie SpG Groß Lindow/Finkenheerd występuje w Kreislidze, czyli na dziesiątym poziomie rozgrywkowym.

Sama fuzja z drużyną z Finkenheerd nie jest czymś nowym, ponieważ oba miejscowości grały pod jednym szyldem także na przełomie lat 40 i 50-tych jako ZSG Glückauf, BSG Aktivist i BSG Turbine, kiedy dużą piłkę w regionie próbowała robić okoliczna elektrownia opalana węglem brunatnym. Wyszło z tego niewiele, a Gross Lindow radziło sobie zdecydowanie lepiej, gdy pracowało tylko na własny rachunek.

AKTUALIZACJA:

W sezonie 2024/2025 zespół z Gross Lindow niestety nie wystawił pierwszej drużyny w żadnych seniorskich rozgrywkach.



Awans
jest
nasz!

Świt Skolwin

Województwo zachodniopomorskie do niedawna było jedną z piłkarskich pustyń, na której tak naprawdę jedyną oazą od zawsze była Pogoń Szczecin.

A relatywnie niewielka liczba klubów z regionu, które na przestrzeni ostatnich lat potrafiły zameldować się na szczelbu centralnym być może nie rzuca się aż tak bardzo w oczy tylko z racji z bezpośredniego sąsiedztwa z woj. lubuskim. Czyli bezsprzeczną Saharą polskiego piłkarstwa, która jako jedyne województwo nie doczekała się jeszcze przedstawiciela w najwyższej klasie rozgrywkowej i w najbliższych latach na pewno się to nie zmieni.

W ostatnich miesiącach piłkarska rzeczywistość na Pomorzu Zachodnim - nieoczekiwanie i trochę na wariackich papierach - zmieniła się jednak na lepsze.

Województwo po raz pierwszy w najnowszej historii może się pochwalić przedstawicielem na każdym z trzech najwyższych szczebli rozgrywkowych.

Pogoń gra w ekstraklasie, a historyczne awanse odpowiednio do I i II ligi wywalczyły Kotwica Kołobrzeg i Świt Szczecin (Skolwin).

Dlaczego na wariackich papierach?

Bo Kotwica kierowana jest przez nieobliczalnego Adama Dzika, którego metody zarządzania nie przystają do realiów XXI wieku i nie bez przyczyny w kontekście sytuacji w kołobrzesckim klubie często pada hasło "dziki zachód". Nie tylko z racji na geografie oraz nazwisko prezesa.

Świt na decydentów narzekać na szczęście nie musi.

Bo to ich wieloletnie zaangażowanie i determinacja doprowadziły do tego, że osiedlowy klub, który przeszło dekadę temu grał w okręgówce, a na początku XXI w. nawet w A-klasie, dzisiaj zawitał na szczebel centralny i jego mecze są transmitowane na żywo w TVP Sport.

W tym kontekście wariactwo (ale już takie bardziej pozytywne) polega na tym, że klub tak naprawdę do ostatnich godzin przed pierwszym spotkaniem w II lidze walczył o to, żeby ta inauguracja w ogóle się odbyła.

Skolwin to najbardziej wysunięta na północ dzielnica Szczecina. Podróż samochodem do centrum miasta może zająć nawet pół godziny.

Dlatego życie tutaj toczy się swoim, na pewno nie wielkomiejskim tempem.

Do 1939 r. ówczesny Scholwin był samodzielną miejscowością. Dopiero wtedy został przyłączony do Wielkiego Miasta Szczecin jako Odermünde, czyli Ujście Odry.

Po wojnie, już w Polsce, ukształtował się przemysłowy charakter północnych rubieży Szczecina, gdzie głównymi zakładami pracy były m. in. największa w PRL papiernia oraz huta. Co ciekawe aż do lat 60-tych mieszkał tutaj (i był sołtysem) generał Mieczysław Boruta-Spiechowicz, który wymierne zasłużył się dla Polski w obu wojnach światowych. Dzisiaj na osiedlu ma swój pomnik oraz wielki mural na ścianie jednej z kamienic.

Transformacja ustrojowa na Skolwinie nie przebiegła pomyślnie. Wielkie zakłady przemysłowe zostały zamknięte, a okolica mocno podupadła.

Dzielnicę zdominował postindustrialny krajobraz, w którym szare kamienice mieszały się z ruinami dawnych zakładów przemysłowych. Tereny papierni stały się przy okazji rajem dla miłośników urbexu. O ile wcześniej nie odstraszyły ich hasła na murach w stylu kultowego "Witamy w krainie, gdzie obcy ginie".

Bo jeszcze kilka lat temu nikt bez specjalnego powodu, szczególnie w godzinach wieczornych, się tutaj nie zapuszczał, a podróż na końcowych przystankach linii 63 nosiła znamiona dość ekstremalnej rozrywki.

Dzisiaj obraz Skolwina, dzięki zaangażowaniu wielu społeczników, zaczyna się zmieniać. Coraz więcej kamienic ma kolorowe tynki, a na terenach przemysłowych otwierają się firmy.

W krajobraz zmian idealnie wpisuje się historia Świt. Klubu piłkarskiego, który choć oficjalnie nazywa się Świt Szczecin, to wszyscy i tak nazywają go Świtem Skolwin. Jest tak głęboko zakorzeniony w dzielnicy, że jego kierownictwo za punkt honoru postawiło sobie doprowadzenie miejscowego stadionu do warunków II ligi.

Jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się, że to niemożliwe. Kameralny obiekt jest wciśnięty gdzieś pomiędzy ruiny dawnej papierni, a mokradła, za którymi płynie Odra oraz stoi zatopiony betonowiec D-62. To właśnie od strony Odry w listopadzie 2021 r. przybyła grupka kibiców Legii, którzy przyjechali na mecz ze Świtem w Pucharze Polski. Kadr był absolutnie niepodrabialny, co najmniej jak z "Kompanii Braci".



Do niedawna stadion charakteryzował się tylko namiastką małej quasi-trybuny z trzema rzędami plastikowych krzesełek. Prawdziwa metamorfoza co prawda dopiero nadejdzie (planowana jest gruntowna przebudowa), ale na potrzeby spełnienia wymagań II ligi obiekt już zmienił się nie do poznania. Starą trybunę wyłączono z użytku, a po drugiej stronie postawiono tymczasową i częściowo zadaszoną konstrukcję, która pozwala wpuszczać na mecze prawie 1000 osób. Do tego teren za bramką wyłożono kostką brukową, zorganizowano coś w rodzaju food court'u i postawiono budkę z klubowymi gadżetami.

Organizacja siłą rzeczy musiała nosić pewne znamiona tymczasowości, ale debiut Świt Skolwin w II lidze należy ocenić co najmniej pozytywnie. Nie tylko ze względu na to, że klub stanął na głowie, żeby móc grać na swoim stadionie, ale także z racji na podejście zarządu Świt. W czasie, gdy Pogoń oferuje najdroższe karnety w Polsce i marny catering w horrendalnych cenach, a Kotwica będzie sprzedawać bilety po 40, 50 zł, Świt podszedł do tematu zupełnie inaczej.

Włodarze od razu zapowiedzieli, że pewne niedociągnięcia organizacyjne na pewno się znajdują (np. w systemie biletowym "odwróciły się" trybuny i kupując miejsce na samej górze, na stadionie okazywało się, że to krzeselka w najniższym rzędzie), ale w zamian klub nie potraktował kibiców jak bankomatu i nie wykorzystał historycznego meczu do bezrefleksyjnego napchania się pieniędzmi. Bilet na spotkanie kosztował tylko 6 zł, tyle samo kosztowała też stadionowa "gięta" z grilla!

Ceny w dzisiejszych czasach, szczególnie jak na mecz na szczelbu centralnym, absolutnie niespotykane. Napoje już od 5 zł, a dobre, lokalne piwo kraftowe z Polic za 14 zł.

Bilety oczywiście się wyprzedały i debiut Świt na szczelbu centralnym zobaczyło ok. 1000 kibiców.

Na zdjęciach widać puste miejsca na trybunach, ale to tylko ze względu na niesamowity ukrop, który tak naprawdę był jedynym negatywem niedzielного spotkania z KKS Kalisz.

Dziesiątki kibiców ruszyły za jedną z bramek, żeby oglądać mecz w cieniu. W słońcu, pomimo dość późnej pory rozgrywania spotkania, upał przekraczał 30 stopni. Palące słońce na szczęście nie zniechęciło grupki najbardziej oddanych fanatyków Świt, którzy w asyście flag na kijach prowadzili aktywny doping przez całe 90 minut.

Temperatura odbiła się jednak na tempie spotkania, które nie należało do najbardziej emocjonujących.

Doświadczony na drugoligowych boiskach KKS Kalisz otworzył wynik w 20. minucie, a Świt się szarpał i nie mógł złapać właściwego rytmu. Na szczęście na kwadrans przed końcem pięknego gola z dystansu zdobył Kacper Wojdak i piłkarze nie popsuli historycznej inauguracji.

Świtowi w II lidze warto życzyć powodzenia, bo to jeden z tych klubów, w których liczy się nie tylko sama piłka nożna, ale także cała otoczek. Świt jest twarzą zmian w trudnej oraz zapomnianej dzielnicy i miejscem, które integruje lokalną społeczność.



Skolwin

HOYERSWERDA



Bez wątplenia Hoyerswerda jest obowiązkowym punktem na mapie dla wszystkich miłośników szeroko pojętego "socmodu".

Hoyerswerda to jedno z czterech wzorcowych miast socjalistycznych (obok przygranicznych Schwedt i Eisenhüttenstadt oraz dzielnicy Halle-Neustadt), które powstały za czasów NRD. Modus operandi oczywiście zawsze był taki sam - zapewnić przestrzeń mieszkalną dla pracowników wielkiego zakładu przemysłowego w okolicy. Kariera Hoyerswerdy była jednak wyjątkowo spektakularna. W 1950 r. w miasteczku mieszkało zaledwie 7 tys. osób. Na przestrzeni kilku dekad liczba mieszkańców wzrosła aż dziesięciokrotnie - do ponad 70 tys.!

U zarania dziejów miejscowość pełniła marginalną rolę na mapie swojego regionu. Osiedlali się tutaj słowiańscy Serbołużyczanie, a położenie z dala od głównych szlaków handlowych i w gęstych lasach powodowało, że dominowała tutaj ludność wiejska, siłą rzeczy głęboko zacofana.

W późniejszych wiekach historia była już zdecydowanie bardziej burzliwa, bo Hoyerswera, jak i całe Górne Łużyce, mocno ucierpiało m. in. podczas wojny trzydziestoletniej czy wojen napoleońskich oraz wiele razy zmieniała swoją przynależność państwową. Zanim stała się częścią zjednoczonych Niemiec, to poza oczywistym ze względu na geografie wchodzeniem w skład Saksonii czy Prus, była również m. in. pod panowaniem czeskim oraz węgierskim.

Mało tego - do 1945 r. Hoyerswerda była najbardziej na zachód wysuniętym powiatem prowincji... Dolny Śląsk oraz Śląsk (zmieniało się to na przestrzeni różnych reform administracyjnych).

W 1945 r. Hoyerswerda została zamieniona w twierdzę i zajęta przez Armię Czerwoną, która spaliła to, czego nie zdążyła zniszczyć w trakcie walk o miasto. Po wojnie mieszkało tutaj ok. 7 tys. mieszkańców i pierwotnie nic nie wskazywało na to, że miejscowość odklei od siebie łatkę miejsca spod szyldu głębokiej prowincji. Szczególnie w nowej rzeczywistości politycznej.

Ale w 1955 r. w okolicy powstał wielki kombinat przemysłowy Schwarze Pumpe (w języku dolnołużyckim występujący pod sympatyczną nazwą Carna Plumpa, a w górnołużyckim znany jako Čorna Pumpa). Zresztą chyba nawet nie tyle wielki, co naprawdę gigantyczny. Za czasów NRD Schwarze Pumpe było jednym z najważniejszych punktów na mapie energetycznej dzielnicy Cottbus, gdzie nie tylko wydobywano węgiel brunatny, ale także poddawano go przeróbce i rafinacji oraz zasilano nim trzy miejscowe elektrownie ciepłne. W latach 80-tych był to jeden z największych ośrodków wydobycia węgla brunatnego na świecie, a 95 proc. gazu miejskiego w NRD pochodziło z "Czarnej Pompy".

Powstanie kombinatu niesło za sobą konieczność zbudowania tysięcy mieszkań dla nowych pracowników. W ten sposób narodziła się złota era w dotąd niemrawej historii pobliskiej Hoyerswerdy. Obok starej, historycznej części miasta powstała od podstaw zupełnie nowa dzielnica Neustadt - zaprojektowana przez socjalistycznych architektów.

Szerokie, prostopadłe do siebie aleje, wielkie bloki z betonowej płyty, skrupulatnie zaplanowane obszary do rekreacji (był nawet tor saneczkowy oraz wioska indiańska) oraz jasno wyznaczone miejsca w ścisłym centrum na punkty usługowo-handlowe, a wokół oczywiście żadnego kościoła. Styl znany w Polsce z Nowej Huty, choć tutaj - podobnie jak w Eisenhüttenstadt - zaserwowany w wersji premium.

Dzisiejsza Hoyerswerda to już oczywiście tylko pamiątka po czasach dawnej świetności. Aktualnie w całym mieście mieszka tylko nieco ponad 30 tys. osób. Nie trudno więc policzyć, że po upadku NRD wyjechała stąd więcej niż połowa osób (w "prime" było ich ponad 70 tys.). Restrukturyzację przechodzi też cały kombinat Schwarze Pumpe, który zamienia się po prostu w park przemysłowy, bo moda na inwazyjne i nieekologiczne wydobywanie węgla brunatnego już dawno przeminęła.

Hoyerswerda dzieli się na dwie części, których wyraźną granicę wyznacza kanał Czarnej Elstery oraz sama rzeka Czarna Elstera. Na zachód znajduje się stara część miasta z niewielką, ale kameralną oraz odrestaurowaną starówką. To przede wszystkim kilka brukowanych uliczek wokół rynku, niewielkie ZOO oraz niespecjalnie zwalający z nóg zamek.

Po drugiej stronie kanału rozciąga się natomiast Neustadt, które sprawia wrażenie samodzielnej jednostki administracyjnej z własnym centrum zlokalizowanym na Lausitzer Platz, czyli Placu Łużyckim. Jak na dłoni widać, że dzielnica najlepsze lata ma za sobą.



Pomiędzy osiedlami kwitną dzikie łąki, które są jedynymi pamiątkami po kolejnych kwartałach bloków, które po 1990 r. zostały wyburzone. Z wielu ulic zniknął natomiast asfalt i zostały gołe płyty. Z czasów NRD pozostała też sygnalizacja świetlna i widać to nie tylko za sprawą słynnych Ampelmännchen, które są jednym z symboli tego nieistniejącego państwa. O ile ścisłe centrum Neustadt w miarę zrewitalizowano, to na jego obrzeżach czas po prostu się zatrzymał. Momentami to po prostu miastowidmo, choć z drugiej strony - nawet po tylu latach i w obecnej sytuacji - można przyznać rację wielu osobom, które twierdziły, że jak na lata 60, 70 czy 80-te tak zaplanowany projekt urbanistyczny mógł robić wrażenie i był po prostu czymś nowoczesnym.

Bez wątplenia Hoyerswerda jest obowiązkowym punktem na mapie dla miłośników szeroko pojętego "socmodu". Nie jest co prawda aż tak spektakularna jak wręcz nieprawdopodobne Eisenhüttenstadt, ale dużo ciekawsza od Schwedt.

Jako ciekawostkę można jeszcze dodać dość powszechną obecność języka górnołużycznego, co niestety jest już coraz większą rzadkością na Łużycach. W Hoyerswerdzie nie ogranicza się on tylko np. do dwujęzycznych napisów z nazwami ulic, ale bywa też obecny chociażby na różnych plakatach reklamowych czy promocyjnych. Zdarza się również widzieć nazwę miasta zapisaną w języku górnołużckim, czyli jako Wojerecy. Choć to już i tak bardziej kurtuazja niż faktyczna potrzeba komunikacji z ostatnimi przedstawicielami tego narodu.

Hoyerswerda i jej okolice (obok Budziszyna) były jednym z głównych ośrodków kultury górnołużycznej, ale w dużej mierze została ona pogrzebana przez powstanie kombinatu w Schwarze Pumpe.

Przez dekady zaczęła tutaj przyjeżdżać za chlebem ludność napływowa z całej NRD, a lokalni serbołużyczcy rolnicy również przyjmowali lepiej płatne oferty pracy i przy okazji dali się zupełnie germanizować w tłumie tysięcy przyjezdnych DDR-owców, bo w zakładzie pracy identyfikowanie się z serbołużyczną tożsamością było uznawane za obciach i zaściankowość.

Wśród Serbołużyczan popularne jest zresztą powiedzenie "Čorna Pumpa je row Serbstwa", co oznacza, że "Czarna Pompa to grób Łużyczan". Apele o tworzenie jednolitych serbołużycznych brygad w kombinacie okazały się bezskuteczne, przez co nie udało się obronić jednego z ostatnich relatywnie silnych bastionów słowiańskich w NRD, czego bolesne efekty widać do dzisiaj.

Serbołużyczan pogrzebał nie tylko napływ świeżej ludności do Hoyerswerdy i okolic, ale także sama industrializacja tego terenu. Za czasów NRD kopalnie węgla brunatnego zajęły ponad 100 tys. hektarów łużyckiej ziemi, a ponad 70 wiosek zamieszkaných przez Serbołużyczan zniknęło z mapy kraju, bo trzeba było zrobić miejsce dla kolejnych "odkrywek". A to właśnie ukryte w lasach Saksonii i południowej Brandenburgii wioski były trzonem tej słowiańskiej kultury.

Na szczęście łużycka nazwa miasta Wojerecy już na zawsze zapisała się w dorobku kulturowym miasta, które często jest nazywane Hojwoj albo Hoywoy.

To wszystko za sprawą utworu pod tym tytułem skomponowanego przez wychowanego w Hoyerswerdzie muzyka Gerharda Gundermanna, którego można nazwać bardem tych wszystkich, którzy po zjednoczeniu kraju zapadli na tzw. "ostalgię".

Druga ciekawostka jest natomiast dla miłośników tzw. zbiorkomu. W latach 80-tych Hoyerswerda przekroczyła liczbę 70 tys. mieszkańców i potrzebowała modernizacji komunikacji miejskiej. Import ropy naftowej był coraz droższy, dlatego w NRD promowano ideę rozbudowy sieci trolejbusów, które można było napędzać prądem. A tego z racji na wydobycie węgla brunatnego na masową skalę oczywiście nie brakowało.

W Hoyerswerdzie historia trolejbusów była jednak bardzo krótka, bo inauguracja miała miejsce dopiero w 1989 r., kiedy nad demoludy nieuchronnie nadciągał wiatr zmian.

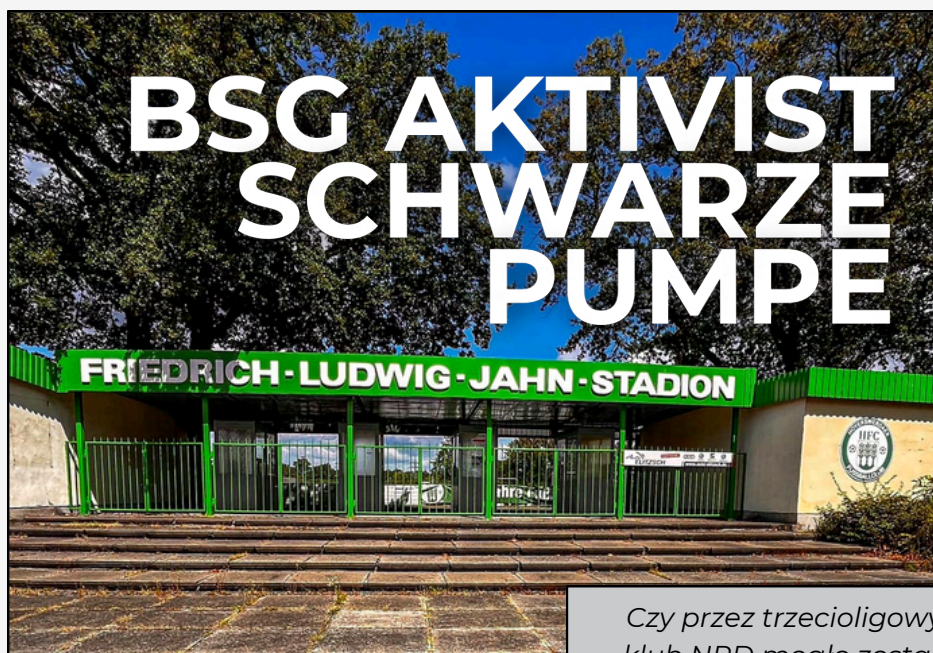
Już w 1990 r. miasto - świadome skali zbliżającego się exodusu na zachód - przerwało plany rozbudowy sieci i ostatecznie uruchomiono tylko dwie z trzech zaplanowanych linii, a 30 grudnia 1994 r. ostatecznie zamknięto interes trolejbusowy.





HOYERSWERDA





We wzorcowym mieście socjalistycznym Hoyerswerda musiała też istnieć silna drużyna piłkarska, którą w tym przypadku był klub BSG Aktivist Schwarze Pumpe. Co prawda nie osiągnął aż tak spektakularnych sukcesów, jak bardziej znany krewniak, czyli BSG Stahl Eisenhüttenstadt, który zameldował się w DDR-Oberlidze oraz europejskich pucharach, ale i tak było całkiem nieźle.

Klub powstał w styczniu 1956 r. i jeszcze w tym samym roku dokonał fuzji z borykającym się z problemami finansowymi BSG Einheit Spremberg, dzięki czemu przejął miejsce w lidze okręgowej. Ale do 1960 r. grał jeszcze na stadionie w pobliskim Sprembergu. Właśnie wtedy w Hoyerswerdzie otwarto Friedrich-Ludwig-Jahn-Stadion, który był jedną z istotnych inwestycji w nową, wzorcowo zaprojektowaną dzielnicę Neustadt.

Czy przez trzecioligowy klub NRD mogło zostać wykluczone z igrzysk?

W latach 60-tych klub stale balansował pomiędzy DDR-Ligą (zaplecze najwyższej klasy rozgrywkowej) a Bezirksligą (3. Liga).

Swoją pozycję ustabilizował dopiero na początku lat 70-tych, kiedy na dobre awansował do DDR-Ligi i nie spadł z niej aż do końca istnienia NRD.

Złoty okres w historii futbolu w Hoyerswerdzie został jednak poprzedzony dość absurdalnym "skandalem", przez który BSG Aktivist Schwarze Pumpe - jako świeżo upieczony beniaminek - po zaledwie dwóch kolejkach DDR-Ligi w sezonie 1970/1971 został karnie zdegradowany na trzeci poziom rozgrywkowy.

Dlaczego?

Na finiszu wcześniejszego sezonu, jeszcze przed barażami o awans do DDR-Ligi, jeden z głównych rywali, BSG Motor Warnemünde wysłał do Hoyerswerdy tajnego obserwatora, który miał podglądać wszystkie treningi piłkarzy BSG Aktivist.

Przy okazji zauważył, że zawodnicy z Hoyerswerdy trenują na pełnych obrotach nawet dwa razy dziennie, co było niezgodne z regulaminem. Piłkarze w praktycznie wszystkich klubach w NRD byli bowiem zatrudnieni na etatach w firmach sponsorujących, a trenować mieli przede wszystkim po pracy, już w trakcie czasu wolnego. Oczywiście wiele klubów, szczególnie tych z czołówki, tego nie respektowało, ale BSG Aktivist Schwarze Pumpe - jak na zespół z trzeciego szczebla - wyróżnił się wyjątkowo profesjonalnym podejściem do sportu oraz kreatywnym sposobem na ominięcie przepisów.

Wówczas trenerem drużyny był oficer armii Heinz Kellner, który chciał nie tylko wprowadzić profesjonalny program treningowy, ale także wykorzystać swoje szerokie kontakty.

Dzięki temu piłkarze, zamiast codziennie rano zasuwać na zmianę do Schwarze Pumpe, zostali przydzieleni do tzw. brygady sportowej, która miała skosić trawnik albo odmalować coś na obiektach sportowych należących do kombinatu. W rzeczywistości po prostu wychodziła na pierwszy trening już o poranku i na pełnej świeżości.

Sprawa wyszła na jaw i zaczęły się pojawiać pytania, za co piłkarze pobierają pensje z zakładu pracy, skoro w ogóle się tam nie pojawiają.

Zgodnie z przepisami klubom DDR-Ligi przysługiwało tylko pięć godzin treningu tygodniowo w czasie pracy (wtedy BSG Aktivist grał zresztą jeszcze o ligę niżej). Reszta zajęć miała odbywać się później. A w Hoyerswerdzie trenowali niczym profesjonaliści - skupiając się tylko na piłce nożnej.

Zespół z Górnych Łużyc wygrał turniej barażowy, a w trakcie przerwy letniej temat trochę przycichł i wydawało się, że cała afera rozejdzie się po kościach. BSG Aktivist zdążył nawet rozegrać jeden mecz po awansie do DDR-Ligi i w pierwszej kolejce sensacyjnie ograł Energie Cottbus 2:1.

Niestety okazało się, że afera wydostała się poza granice NRD, a reprezentacji narodowej grozi wykluczenie z igrzysk olimpijskich w 1972 r. w Monachium (jakże istotnych z politycznego punktu widzenia), bo holenderska federacja - na przykładzie sytuacji z Hoyerswerdy - złożyła skargę, kwestionując amatorski status piłkarzy w NRD.

Wówczas w olimpijskim turnieju piłkarskim mogli grać tylko piłkarze-amatorzy, co stawiało w uprzywilejowanej sytuacji drużyny z "demoludów", gdzie zawodnicy oficjalnie byli amatorami zatrudnionymi na etatach w kopalniach, wojsku, policji czy innych państwowych przedsiębiorstwach, a w piłkę grali po godzinach. Oczywiście było to bzdurą, co pamiętamy nawet z polskich boisk, gdzie największe gwiazdy w latach 70-tych nigdy nie odbijały kart na zakładach, ale na potrzeby igrzysk świetnie zdawało to egzamin. Dzięki temu od 1952 do 1980 r. po olimpijskie złoto sięgały tylko kadry zza żelaznej kurtyny (Węgry, ZSRR, Czechosłowacja, Polska, NRD), które mogły wystawiać najsilniejsze składy.

Np. w 1976 r., kiedy Polacy wrócili z igrzysk z Montrealu ze srebrem (co przyjęto z rozczarowaniem), to mieli "pakietę" złożoną praktycznie z tych samych zawodników, którzy zajęli 3. miejsce na mundialu w 1974 r. Deyna, Lato, Szarmach, Tomaszewski czy Żmuda.

A NRD-owska wierzuszka z Erichem Honeckerem nie mogła sobie pozwolić na jakiegokolwiek problemy ze startem na igrzyskach w Monachium, dlatego w dniu rozegrania 2. kolejki podjęto polityczną decyzję o karnej degradacji BSG Aktivist Schwarze Pumpe do 3. Ligi za "naruszenie zasad społeczeństwa socjalistycznego, uczciwości oraz przyzwoitości". Kogoś trzeba było dla przykładu poświęcić.

Mieszkańcy Hoyerswerdy byli oburzeni tą decyzją, a kombinat Schwarze Pumpe groził strajkiem generalnym.

Minęło sporo czasu, zanim udało się opanować chaos.

Trener Heinz Kellner stracił pracę i choć po jakimś czasie przysługiwało mu prawo do odwołania oraz powrotu do sportu, to wykorzystał swoje szerokie kontakty i podjął pracę w kombinacie Schwarze Pumpe.

Na stadion w Hoyerswerdzie już nigdy potem nie przyszedł.

Co ciekawe - dokładnie w tym samym momencie, czyli w 2. kolejce sezonu DDR-Ligi sezonu 1970/1971 do Bezirksligi karnie zdegradowany został także... klub w zasadzie bliźniaczy do zespołu z Hoyerswerdy, czyli BSG Stahl Eisenhüttenstadt.



W Eisenhüttenstadt oczywiście też trenowali znacznie częściej niż przewidywały to przepisy, ale zostali ukarani przede wszystkim za korzystanie ze wszelkich dobrodziejstw wzorcowego miasta socjalistycznego. BSG Stahl była świeżo po spadku z DDR-Oberligi i marzyła o szybkim powrocie do elity. Klubowi działacze próbowali bezczelnie omamić zawodników z największych klubów nowiutkimi mieszkaniem oraz innymi benefitami nowoczesnego Eisenhüttenstadt, którym z rękawa sypało szefostwo huty stali.

- Jeśli miałem obiecanych pięć nowych mieszkań, to wiedziałem, że mogę ściągnąć pięciu nowych piłkarzy - wspominał po latach jeden z klubowych działaczy.

BSG Stahl została karnie zdegradowana za "wykorzystywanie środków finansowych ludzi pracy w niedbały sposób i na cele osobiste". Wtedy normalny rynek transferowy jeszcze nie istniał.

Dzisiaj wiele osób twierdzi, że karne degradacje miały też drugie dno i były dodatkowo inspirowane przez władze poszczególnych okręgów. Dynamiczny rozwój Stahli i Aktivista trzeba było wyhamować, ponieważ w danych okręgach piłkarskimi numerami jeden miały być kluby ze stolic poszczególnych "województw", a nie jakieś zespoły z prowincji. We Frankfurcie nad Odrą już instalowano przeniesiony z Berlina wojskowy Vorwärts, natomiast w Chociebużu w siłę miało rosnąć Energie Cottbus.

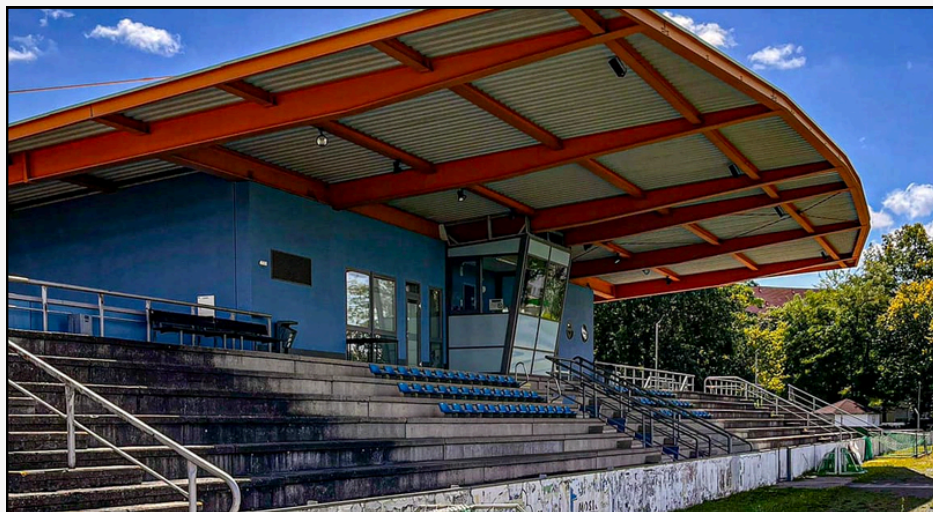
Na szczęście BSG Aktivist Schwarze Pumpe błyskawicznie się odbudował i w sezonie 1971/1972 znów zameldował się w DDR-Lidze.

Przy okazji z najlepszą, sięgającą prawie 4 tys. widzów średnią frekwencją w swojej grupie (mecz z dobrze znaną Stahlą Eisenhüttenstadt zgromadził w Hoyerswerdzie 6 tys. widzów - najwięcej w całym sezonie grupy B DDR-Ligi).

Od tamtej pory zaczął się najlepszy okres w historii klubu - piłkarze z Hoyerswerdy spędzili na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej kolejnych 20 sezonów z rzędu i już nigdy, za czasów NRD, nie zaznali goryczy spadku.

Godne odnotowania są przede wszystkim wyniki z lat 1981-1984, kiedy BSG Aktivist trzy razy z rzędu kończył swoją grupę DDR-Ligi na 2. miejscu. Ale pisanie, że w związku z tym ocierał się o baraże do DDR-Oberligi byłoby delikatnym nadużyciem, ponieważ na pierwszym miejscu zawsze finiszował dużo silniejszy zespół. Dwukrotnie BSG Stahl Riesa, a raz sponsorowany przez fabrykę Trabantów BSG Sachsenring Zwickau. W sezonie 1982/1983 Stahl Riesa wyprzedziła drugą w tabeli drużynę ze Hoyerswerdy aż o 14 punktów, nie przegrywając ani jednego meczu.

W latach 90-tych, po upadku NRD, klub zmienił nazwę na FSV Hoyerswerda i radził sobie całkiem przyzwoicie. Zespół nadal kontynuował imponującą serię bez spadku - z powodzeniem grając w Oberlidze, czyli najpierw na trzecim, a potem czwartym szczeblu rozgrywkowym w zjednoczonych Niemczech.



W sezonach 1998/1999 oraz 1999/2000 FSV Hoyerswerda rozgrywała nawet mecze barażowe o awans do Regionalligi, ale oba podejścia (z rezerwami Tennis Borussia Berlin oraz FC Schönberg 95) zakończyły się niepowodzeniem. Piłkarzy z Górnych Łużyc w domowych starciach o awans dopingowało nawet 4600 kibiców.

W XXI wieku sytuacja znacznie się pogorszyła i klub w 2004 r. musiał ogłosić upadłość. Zmieniono nazwę na FC Lausitz Hoyerswerda, a jedną z osób zaangażowanych w odbudowę był polski trener Waldemar Adamowicz. Niestety to już było kopanie się po niższych ligach, czyli de facto odcinanie kuponów od starych czasów.

W 2016 r. doszło z kolei do powstania dzisiejszego klubu Hoyerswerdaer FC w wyniku fuzji z drugim zespołem z miasta (Hoyerswerdaer SV 1919), który od zawsze (w czasach NRD grał w niższych ligach jako BSG Aufbau) pozostawał w cieniu drużyny napędzanej pieniędzmi z kombinatu Schwarze Pumpe.

Aktualnie zespół gra w Sachsenklasse, czyli na siódmym poziomie rozgrywkowym, a swoje spotkania nadal rozgrywa na klimatycznym Friedrich-Ludwig-Jahn-Stadion, który niespecjalnie zmienił się chociażby od złotych lat 80-tych. Co prawda wyremontowano charakterystyczną bramę wejściową oraz postaviono nowy budynek klubowy, ale chociażby trybuna przeciwległa doskonale pamięta derbowe starcia z Energie Cottbus za czasów NRD.

Rekord frekwencji to 12 tys. widzów na meczu Pucharu NRD z FC Magdeburg w 1984 r., a w latach 80-tych dwukrotnie zagościła tutaj również młodzieżowa reprezentacja kraju.

Hoyerswerda - jak przystało na miasto z Saksonii - to oczywiście także obszar tzw. Dynamolandu, czyli miejsca, gdzie na co dzień wspiera się Dynamo Drezno. Kawalek na północ zaczyna się już natomiast Brandenburgia, gdzie dominuje Energie Cottbus.



CARL ZEISS JENA

"Widzę to teraz jak Carl-Zeiss" - nawija na płycie Fight Club raper Oskar z PROBL3M-u. A coraz lepsze widoki na przyszłość mają także kibice Carl Zeiss Jena. I to nie tylko dlatego, że ich klub od zarania dziejów jest związany z hegemonem na rynku optyki.

Zespół z Turynii po pięciu kolejkach Regionalligi Nordost (4. Liga) jest bezdyskusyjnym liderem tabeli. Carl Zeiss ma na koncie komplet 15 punktów i - co za tym idzie - pięć wygranych z rzędu na koncie. A na deser, i niejako na podsumowanie okresu znakomitej formy, zespół z Jeny w środę zagra u siebie w 1. rundzie Pucharu Niemiec ze świeżo upieczonym mistrzem kraju - Bayerem Leverkusen.

Świetny początek sezonu dodatkowo zbiegł się w czasie z oddaniem do użytku nowego stadionu na ponad 15 tys. miejsc, którego otwarcie 30 lipca uświetnił sparing z Sampdorią Genua. Sama inwestycja rodziła się bólach. Decyzję o budowie nowego obiektu podjęto już w 2015 r., a prace ruszyły dopiero 4,5 roku później i trwały drugie tyle. Znacznie przekroczono też budżet, bo inwestycja ostatecznie pochłonęła 58, zamiast 34 milionów euro.

Dzisiaj najważniejszy jest jednak fakt, że dla klubu zakończyła się wieloletnia męczarnia związana z grą na obiekcie, który był mozolnie przebudowywany trybuna po trybunie i przy ograniczonej frekwencji. Jak widać - od razu znalazło to przełożenie na wyniki zespołu.

Drugą świetną wiadomością dla kibiców w Jenie jest powrót do macierzy firmy Zeiss, która znowu sponsoruje klub, z którym jest historycznie związana.

Rozbrat trwał bardzo długo, bo od 2001 r., ale teraz optyczny gigant wraca do Jeny z sześciocyfrowym zastrzykiem gotówki.

Nowy stadion, powrót Zeissa do Jeny, świetne wyniki na starcie sezonu. Trudno się dziwić, że klub po cichu zaczyna marzyć o powrocie po pięciu latach przerwy na szczybel centralny (3. Liga) i chce przypomnieć, że Carl Zeiss Jena to przecież kawał imponującej historii.

W 1846 r. niemiecki optyk Carl Zeiss założył w Jenie niewielki warsztat, który z czasem zamienił się w wielkie światowe przedsiębiorstwo optyczne, które z powodzeniem funkcjonuje do dzisiaj. Zresztą każdy, kto interesuje się fotografią kojarzy chociażby znakomite obiektywy tej marki (to właśnie obiektywem Zeissa robiono w 1969 r. zdjęcia z pierwszego lądowania na księżycu).

Zakład Zeissa na dobre zaczął się rozwijać w drugiej połowie XIX wieku, kiedy przedsiębiorca zaczął ściśle współpracować z innym znamienitym mieszkańcem Jeny - fizykiem Ernstem Abbe. Kto by pomyślał, że kilka dekad później ich nazwiska będą już nierozdzielnie związane z największym klubem piłkarskim w regionie.

Carl Zeiss zagościł w nazwie, natomiast Ernst Abbe do dzisiaj jest patronem stadionu.

Zresztą Abbe - zaraz po zakończeniu drugiej wojny - przez chwilę również figurował w nazwie klubu z Jeny, bo dla nowej władzy, poza osiągnięciami naukowymi, miał też kilka innych istotnych punktów w biografii.

W zakładach Zeissa już w XIX w. wprowadził ośmiodzinny dzień pracy, więc można go było uznać za pioniera w walce o lepsze jutro dla klasy pracującej - najważniejszej w socjalistycznym raju.

Klub powstał już w 1903 r. i na początku był po prostu drużyną przyzakładową dla pracowników przedsiębiorstwa Carl Zeiss. Później nastąpił dynamiczny rozwój i jeszcze przed II wojną światową Jena doczekała się kilku piłkarzy w reprezentacji kraju.

Po wojnie trzeba było zaczynać od nowa. Na początku ery NRD klub przez chwilę nosił nazwę "Carl Zeiss", ale w latach 50 i 60-tych drużyna była znana przede wszystkim jako BSG Motor Jena i SC Jena. Dopiero w 1966 r. powstał dzisiejszy FC Carl Zeiss Jena.

Wynikało to m. in. z tego, że dopiero w połowie lat 60-tych rozstrzygnięto spór sądowy dotyczący tego, kto ma prawo do używania znaku firmowego. W 1945 r. Amerykanie - zanim wycofali się z Turynii - zdążyli wywieźć na Zachód przyrządy, dokumenty i specjalistów, a zakłady Carl Zeiss zostały reaktywowane w RFN.

Ale władze NRD po wojnie także reanimowały przemysł optyczny - tworząc w Jenie państwowe przedsiębiorstwo, które również nazywało się Carl Zeiss. Ostatecznie uznano, że obie firmy mają prawo do używania tej nazwy, więc do zjednoczenia Niemiec istniały de facto dwa "Carl Zeiss'y".

Piłkarski FC Carl Zeiss Jena w swojej dziedzinie także był gigantem.



Klub zajmuje pierwsze miejsce w tabeli wszech czasów DDR-Oberligi. W najwyższej klasie rozgrywkowej NRD rozegrał 35 sezonów, w których zdobył łącznie aż 1097 punktów (o pięć więcej od drugiego BFC Dynamo). Warto pamiętać, że wówczas za zwycięstwo przyznawano tylko dwa oczka.

Carl Zeiss - w przeciwieństwie np. do wspomnianego BFC Dynamo, które wypłynęło dopiero w latach 80-tych - był klubem nieprawdopodobnie stabilnym. Gdy ówczesny SC Motor Jena w 1956 r. awansował do DDR-Oberligi, to już nigdy z niej nie spadł, a od 1957 do 1983 r. klub z Turynii tylko dwukrotnie kończył zmagania niżej niż na piątej pozycji!

Efektem jest worek medali. Carl Zeiss za czasów NRD to trzy mistrzostwa kraju, aż dziewięć tytułów wicemistrzowskich oraz pięć brązowych krążków. A do tego jeszcze cztery triumfy w Pucharze NRD i plejada zawodników w reprezentacji.

Klub z Jeny piękną kartę siłą rzeczy zapisał też w europejskich pucharach, w których licznik stanął na 87 występach (więcej ma tylko Dynamo Drezno). Największy sukces to sezon 1980/1981 i przegrany 1:2 z Dinamo Tbilisi finał Pucharu Zdobywców Pucharów. We wcześniejszych fazach FC Carl Zeiss wyeliminował m. in. Valencię, AS Romę i Benfikę. Klub z Turynii raz dotarł też do ćwierćfinału Pucharu Mistrzów i dwukrotnie zagrał w ćwierćfinale Pucharu UEFA.

Po zjednoczeniu Niemiec Carl Zeiss Jena w latach 90-tych grał w 2. Bundeslidze, ale potem zaczął stopniowo tonąć w niższych ligach.

Klasyka gatunku, którą przerabiałały praktycznie wszystkie kluby z byłej NRD. Ostatni moment zrywu to w zasadzie tylko lata 2006-2008 spędzone w 2. Bundeslidze i okraszane sensacyjnym awansem do półfinału Pucharu Niemiec, w którym 80 tys. widzów w Dortmundzie zobaczyło, jak Borussia wygrywa z Carl Zeiss 3:0.

Później klub wycierał się tylko po trzeciej i czwartej lidze. I tak jest aż do dzisiaj.

Na szczęście wydarzenia pozasportowe nie pozwoliły zapomnieć o Carl Zeiss Jena nawet w czasach piłkarskiej bessy.

Przez kilka lat na koszulkach drużyny widniało logo bardzo popularnego zespołu grającego heavy metal - Heaven Shall Burn. Większość członków tej kapeli pochodzi z Turynii i jest zagorzałymi fanami drużyny z Jeny.

Dzięki temu sprzedaż meczowych koszulek znacznie wzrosła, a klub znowu stał się popularny w Europie. W konsekwencji odetchnął też świecący pustkami budżet. Potem nawiązano również współpracę z organizacją Sea Shepherd (intensywnie wspieraną przez muzyków), która zajmuje się ochroną przyrody i środowiska morskiego. Jej logo na jakiś także znalazło się na trykotach drużyny Carl Zeiss.

Nie trudno połączyć kropki, że zaangażowanie w takie akcje może sugerować dość lewicowe klimaty na trybunach w Jenie. I faktycznie główna grupa ultras "Horda Azzuro 2001" sytuuje siebie po tej stronie mapy z poglądami.



Inna sprawa, że nie jest to jednak ten skrajnie ideologiczny kaliber kojarzący się ze St. Pauli i Babelsbergiem. Bardziej chodzi o równość na trybunach, walkę z komercjalizacją, tzw. akcje "miastotwórcze" i przywiązanie do korzeni. To z Jeny pochodzi jedna z pierwszych grup (The Eagles), której przedstawiciele już w latach 80-tych chodzili w charakterystycznych kurtkach nazywanych "Die Kутten".

"Horda Azzuro" ma bliskie kontakty m. in. z "Schickerią" z Bayernu Monachium oraz kibicami FSV Frankfurt. Jak sugeruje nazwa grupy - w Jenie ewidentnie inspirować się włoskim stylem kibicowania. Ich sektor jest zawsze znakomicie i zróżnicowanie oflagowany, a jednym z najpopularniejszych płócien jest to z dobrze znanym hasłem... CHWDP (jest też mniejsza wersja z pełnym rozwinięciem skrótu :)). W języku polskim zdarzało im się również tworzyć różne transparenty z bliżej niezrozumiałym przesłaniem.

Największa kosa to oczywiście lokalny rywal z Turyngii, czyli Rot-Weiss Erfurt.

Ten konflikt to klasyka gatunku - odwieczna rywalizacja dwóch największych miast w regionie, a do tego sprzeczne poglądy polityczne kibiców. Instant przepis na gorącą rywalizację derbową, dlatego nawet w 4. Lidze mecze pomiędzy tymi zespołami przyciągają po kilkanaście tysięcy widzów.

Najnowsza odsłona konfliktu wiąże się z postacią Kaya Seidemanna, który przed sezonem zamienił Erfurt na Jenę. Kibice Carl Zeiss nie akceptują nowego zawodnika i na każdym kroku dają mu znać, że "powinien w szybkim tempie oddalić się w bliżej nieokreślonym kierunku".

To nieco zaburza sielankę z pierwszych tygodni nowego sezonu, bo reszcie drużyny niekoniecznie podoba się postawa trybuny południowej w stosunku do ich nowego kolegi z szatni.



TAM, GDZIE
STRZELAŁ
“ECIK”

Po wizycie w Hoyerswerdzie i kombinacie Schwarze Pumpe przenosimy się 30 kilometrów na zachód, żeby odwiedzić kolejny bardzo ważny punkt na mapie Łużyc, czyli liczące prawie 25 tys. mieszkańców miasto Senftenberg. Obie miejscowości mają ze sobą wiele wspólnego i są największymi ośrodkami tzw. Pojezierza Łużyckiego, czyli największego pojezierza w Europie stworzonego rękami człowieka. W okolicy znajduje się dwucyfrowa liczba sztucznych jezior, które powstały poprzez rekultywację i zalanie dawnych odkrywkowych kopalni węgla brunatnego.

Sam Senftenberg leży dokładnie na historycznej granicy Dolnych oraz Górnych Łużyc (w zależności od dzielnicy, w której jesteśmy). Serbołużycka nazwa miasta wywodzi się z języka dolnołużyckiego i jest dość zabawna - Zły Komorow. Istnieje kilka hipotez odnośnie etymologii, ale najpopularniejsza nawiązuje do tego, że przed wiekami miejscowość znajdowała się wśród lasów i na podmokłych terenach, gdzie komary mocno dawały się we znaki jej mieszkańcom.

Historia miasta jest typowa dla innych ośrodków z tej okolicy (np. opisywanej ostatnio Hoyerswerdy).

Często zmieniana przynależność państwowa, kilka bitew w okolicy, przemarsze wojsk, garnizony. Do tego epidemia i pożary. Co tu dużo pisać - między Łabą a Odrą rzadko kiedy żyło się spokojnie.

Istotny jest przede wszystkim rok 1860 r., kiedy odkryto tutaj pokłady węgla brunatnego, co zdefiniowało tożsamość miejscowości na najbliższe ponad 100 lat.

Choć na przestrzeni kolejnych dekad w okolicy funkcjonowało wiele kopalni, to najbardziej znana była bez wątpienia otwarta w 1906 r. kopalnia (grube) Marga. Dyrektor wiodącego na Łużycach przedsiębiorstwa górniczego Ilse Mining AG Gottlob Schumann nazwał ją na cześć swojej zmarłej w dzieciństwie córki.

Dynamiczny rozwój przemysłu na początku XX wieku był oczywiście równoznaczny z pogrzebaniem kultury łużyckiej w regionie. Wcześniej język dolnołużycki był w okolicy bardzo powszechny wśród ludności wiejskiej, ale industrializacja i napływ pracowników do kopalni skrajnie zmarginalizował tę słowiańską kulturę. Ostatnie kazanie w języku dolnołużyckim miało miejsce w jednym z lokalnych kościołów w 1880 r.

Marga funkcjonowała w niewielkiej miejscowości Brieske położonej dosłownie na rogatkach Senftenberga. W 2001 r. Brieske zostało zresztą oficjalnie przyłączone do miasta jako jego dzielnica, jednak tak naprawdę obie jednostki były ze sobą bezpośrednio sprzężone już od początków funkcjonowania Margi. Widać to było chociażby dzięki piłce nożnej, bo już w latach 50-tych miejscowy klub funkcjonował jako Brieske-Senftenberg.

Brieske słynie przede wszystkim z osiedla znanego jako Gartenstadt Marga, czyli Miasto-ogród Marga. Dzielnica została wybudowana w latach 1907-1915 dla pracowników kopalni. Tworzą ją przede wszystkim postawione w secesyjnym stylu domy ułożone wzdłuż zadrzewionych alejek. Estetycznie zaprojektowane osiedle na planie owalu świetnie widać szczególnie z lotu ptaka (czyli np. na google maps).

Dzięki temu Brieske - mimo zmian administracyjnych - ciągle może pielęgnować swoją odrębność od większego Senftenberga, który co prawda posiada kameralną i dość ładną starówkę, ale przede wszystkim jest bezdusznym blokowiskiem.

Przed wojną w Brieske funkcjonował klub SV Grube Marga i radził sobie na tyle dobrze, że zapracował na przydomek "Schalke des Ostens" - również opierając się na górniczo-robotniczych tradycjach.

Za czasów NRD miejscowy zespół szybko odnalazł się w nowej rzeczywistości i w sezonie 1949/1950 był jednym z założycieli DDR-Oberligi, wówczas występując pod nazwą BSG "Franz Mehring" Marga. Mehring - jako m. in. biografista Marksa - został przez władze wpisany do panteonu sław nowego ustroju i w tym przypadku idealnie uzupełniał się z robotniczą tradycją Brieske. Był przy okazji patronem miejscowej kopalni węgla brunatnego.

Ale już w kolejnym sezonie zmieniono nazwę klubu na BSG Aktivist Brieske-Ost, a w 1954 r. piłkarze dołączyli wielosekcyjnego, nowopowstałego SC Aktivist Brieske-Senftenberg.

Górnictwo klub od 1949 do 1963 r. nieprzerwanie grał w DDR-Oberlidze, w której spędził łącznie 13 sezonów, co w tabeli wszech czasów najwyższej klasy rozgrywkowej w NRD daje bardzo wysokie, 15. miejsce. Tuż za Unionem Berlin i Chemie Lipsk.

Największy sukces to 1956 r. i wicemistrzostwo NRD. SC Aktivist zakończył rozgrywki zaledwie dwa punkty za SC Wismut Karl-Marx-Stadt.



Gdyby sięgnął po mistrzostwo, to w 1. rundzie Pucharu Europy Mistrzów Krajowych (protoplasta dzisiejszej Ligi Mistrzów) zmierzyłby się z Gwardią Warszawa. Dwa lata później zespół z Brieske ukończył zmagania w DDR-Oberlidze na trzeciej pozycji.

O ile lata 50-te zostały naznaczone dwoma medalami i regularnymi miejscami w środku tabeli, o tyle na początku nowej dekady wyniki uległy pogorszeniu i w sezonie 1962/1963 SC Aktivist - jeden z założycieli DDR-Oberligi - musiał zaznaczyć pierwszej w swojej historii gorczy spadku z najwyższej klasy rozgrywkowej. Jak się później okazało, Brieske-Senftenberg już nigdy miało nie wrócić do elity...

Sytuację wykorzystały lokalne władze, które nie mogły pogodzić się z faktem, że najlepszym klubem w okręgu jest drużyna z głębokiej prowincji (zresztą w latach 50-tych w całej Oberlidze nie było drużyny z mniejszej miejscowości niż Brieske, które de facto nie posiadało praw miejskich), natomiast stolica dzielnicy węglowo-energetycznej, czyli Cottbus jest piłkarską pustynią. W 1963 r. pierwszy zespół SC Aktivist Brieske-Senftenberg przeniesiono więc do SC Cottbus, z którego trzy lata później wyłoniło się BSG Energie Cottbus.

Chociebuż - choć w późniejszych latach i tak będzie drenowany z najlepszych zawodników przez BFC Dynamo, spędzając w DDR-Oberlidze tylko siedem sezonów - nie przestanie gnoić mniejszych klubów z okolicy. Niecałe dziesięć lat później, w białych rękawiczkach, weźmie udział w spuszczeniu do ligi okręgowej BSG Aktivist Schwarze Pumpe, o czym szeroko pisałem w poprzednim tekście o historii futbolu w Hoyerswerdzie.

A w Brieske-Senftenberg trzeba było odbudowywać futbol od niższych lig, przejmując miejsce po dotychczasowych rezerwach. Klub - jako BSG Aktivist Brieske-Senftenberg - co prawda nigdy nie wrócił do najwyższej klasy rozgrywkowej, ale już w sezonie 1964/1965 zameldował się na jej zapleczu, czyli w DDR-Lidze. Niestety od razu spadł z niej hukim. W podobny sposób zakończyła się również kolejna roczna przygoda w sezonie 1971/1972.

Górnicy pierwsze efekty mozolnej odbudowy dawnej potęgi na dobre zaczęli konsumować dopiero od sezonu 1973/1974. BSG Aktivist - zgodnie z zasadą, że do trzech razy sztuka - jako beniaminek zajął wtedy drugie miejsce w swojej grupie DDR-Ligi i przy okazji mógł się w niej pochwalić najwyższą średnią frekwencją. Derby ze Schwarze Pumpe oglądało w Brieske prawie 3,5 tys. widzów.

Rok później co prawda znowu spadł, ale gdy po raz czwarty wrócił na zaplecze elity w 1976 r., to do końca rozgrywek w NRD w 1991 r. spędził w DDR Lidze aż 12 na 15 możliwych sezonów. Łapiąc tym samym stabilizację i status solidnego drugoligowca, który czasami potrafił ukończyć zmagania w szerokiej czołówce. W latach 80-tych do Brieske regularnie przyjeżdżały takie firmy, jak: Energie Cottbus, Union Berlin, Chemie Lipsk czy późniejszy, sensacyjny uczestnik europejskich pucharów - Dynamo Schwerin. Finałnie BSG Aktivist zakończył erę NRD z 16 sezonami w DDR-Lidze na koncie i 34. miejscu w tabeli wszech czasów tych rozgrywek. W ostatnim sezonie przed zjednoczeniem rozgrywek w Niemczech (1990/1991) klub funkcjonował już pod nową nazwą FSV Glückauf Brieske-Senftenberg i grał na drugim poziomie rozgrywkowym.

Wówczas na roczne wypożyczenie trafiła tutaj absolutna legenda Ruchu Radzionków, czyli słynny Marian Janoszka. Popularny "Ecik" po 30-stce chciał spróbować swoich sił zagranicą, a górniczy klub z Łużyc wydawał się idealnym miejscem na w miarę bezbolesną aklimatyzację. W tamtym okresie w Brieske grał również obrońca Leszek Partyński, który w latach 80-tych był zawodnikiem m. in. Lecha Poznań, z którym sięgnął po mistrzostwo Polski.

FSV Glückauf ostatni sezon przed połączeniem rozgrywek w Niemczech zakończył w środku tabeli, na 10. miejscu w swojej grupie. Zremisował aż połowę meczów (15 z 30). A sam Marian Janoszka spełnił pokładane w nim nadzieje i strzelił 13 z 34 zdobytych przez zespół goli w tamtym sezonie. Był najlepszym strzelcem drużyny i jednym z najlepszych w całej lidze.

- Chciałem spróbować czegoś nowego. Wcześniej było trudno wyjechać z kraju, ale prawda jest też taka, że specjalnie się tym nie interesowałem. Załatwił to Jan Liberda i w pierwszej kolejności miał jechać ktoś inny, ale zrezygnował. Utarło się w Radzionkowie, że „Ecika” nigdy nie puszczą, bo on musi cały czas grać, ale jakoś mi się udało - wspominał po latach w rozmowie z portalem "Ślaga".

Janoszka tęsknił jednak za domem, a poza tym wraz z transformacją ustroją zbankrutowała sponsorująca całą zabawę kopalnia, więc "Ecik" po zaledwie roku wrócił do Radzionkowa. Mógł się jednak pochwalić tym, że na własne oczy widział transformację ustroju i zjednoczenie Niemiec.

W zjednoczonych Niemczech FSV Glückauf systematycznie osuwał się do coraz niższych klas rozgrywkowych.



Do 1996 r grał w Oberlidze (3. i 4. Liga), a na początku XXI wieku wyładował już na szóstym poziomie ligowym. W poprzednim sezonie zespół spadł z Landesligi (7.) do Landeskklasse (8.).

Aktualnie FSV Glückauf swoje mecze rozgrywa na klimatycznym stadionie Elsterkampfbahn, który rzekomo może pomieścić nawet 8 tys. widzów i charakteryzuje się starą, mocno naruszoną zębem czasu wieżyczką dla spikera oraz blaszanymi trybunami. Na przestrzeni lat cały kompleks dorobił się jednak również dwóch boisk ze sztuczną murawą i całego, dość profesjonalnego - jak na poziom rozgrywkowy - zaplecza.

Elsterkampfbahn jest wyjątkowy również ze względu na swoje położenie. W zasadzie tuż nad brzegiem uregulowanej w tym miejscu rzeki Czarnej Elstery oraz pomiędzy ogródkami działkowymi i spokojnymi osiedlami mieszkaniowymi.

Elsterkampfbahn w tym roku świętuje stulecie swojego istnienia, bo już przed wojną na tym obiekcie swoje mecze rozgrywali piłkarze ówczesnego SV Grube Marga. Ale w 1953 r., już za czasów NRD, będący w przededniu swoich największych sukcesów Aktivist Brieske-Senftenberg przeniósł się dosłownie dwie ulice dalej, na świeżo wybudowany w czynie społecznym (także przez piłkarzy) Glückauf-Stadion.

Na inaugurację Glückauf-Stadion miejscowy zespół rozegrał sparing z Torpedo Moskwa (porażka 0:5), który przyciągnął na trybuny aż 35 tys. widzów, choć wedle relacji było to też związane z tym, że władza - w ramach przyjaźni obu narodów - zrobiła z tego wydarzenia polityczny wiec.

W późniejszym okresie obiekt stał się wielofunkcyjny i przez prawie 20 lat rozgrywano na nim nawet zawody żużlowe.

Im bliżej było końca NRD, tym bardziej stadion się sypał. Szczególnie że BSG Aktivist z wiadomych względów nie był już tym rozbudzącym wyobraźnię klubem, który w latach 50-tych świętował wicemistrzostwo kraju.

W latach 90-tych zespół wrócił na macierzysty Elsterkampfbahn, a Glückauf-Stadion został po prostu rozebrany. W jego miejscu powstało kameralne osiedle mieszkaniowe nazwane Im Alten Stadion. Główna ulica została wytyczona po śladzie dawnej bieżni/toru żużlowego, więc z lotu ptaka (czytaj z map google) świetnie widać zarys starego obiektu.

Wniosek może być tylko jeden. Brieske-Senftenberg - choć to tylko 8. Liga - to znakomita destynacja dla futbolowych romantyków, dla których tradycja i klimat są ważniejsze niż poziom sportowy reprezentowany przez 11 gości biegających za piłką po boisku (bo przecież tak naprawdę jakie to ma znaczenie?). Szczególnie że klub w Brieske jest prowadzony przez pasjonatów, którzy każdemu chętnie opowiedzą o historii tego miejsca.



ENERGIE COTTBUS

Często zadajecie pytania - od którego klubu najlepiej zacząć turystykę piłkarską w byłej NRD?

B

ez wątpienia jedną z najlepszych opcji będzie wizyta na meczu Energie Cottbus. Niewiele jest klubów z tyloma polskimi akcentami.

Po pierwsze Polacy są najliczniej reprezentowaną nacją, jeśli chodzi o piłkarzy, którzy w całej historii klubu przewinęli się przez Energie Cottbus (oczywiście poza Niemcami). Jest ich aż 14 (a oficjalnie 12, ponieważ Łukasz Kanik i Patryk Rachwał nigdy nie zadebiutowali w pierwszej drużynie). Najwięcej meczów (w latach 1997-2002) rozegrał natomiast Witold Wawrzyczek, który ma na koncie aż 94 występy.

Polscy kibice zdecydowanie bardziej kojarzą jednak m. in. Andrzeja Juskowiaka, Mariusza Kukiełkę czy Radosława Kałużnego, który jako jedyny polski piłkarz w historii pojechał na mistrzostwa świata jako zawodnik klubu z byłej NRD. Mowa oczywiście o mundialu 2002 r, kiedy zawodnik Energie był jedną z gwiazd kadry.

O ile w pierwszej dekadzie XXI w. polscy piłkarze byli w Chociebużu codziennością, o tyle później Energie dopadła mocna sportowa degrengolada i klub spod granicy przestał się już jawić jako przesadnie atrakcyjny kierunek.



Na kolejnego rodaka w barwach "Die Lausitzer" czekamy już prawie dziesięć lat. Na razie ostatni rozdział w tej historii w sezonie 2014/2015 napisał Fabian Paweł, który w Cottbus zdyskontował swój moment hype'u z ekstraklasowego Podbeskidzia Bielsko-Biała.

Po drugie z Chociebuża do Polski dojedziecie w mniej niż pół godziny. Na początku XXI wieku, gdy Energie sensacyjnie awansowało do 1. Bundesligi, nastąpiło pospolite ruszenie naszych rodaków z przygranicznych terenów. Będące piłkarską pustynią woj. lubuskie dostało wyborne zadośćuczynienie za lata futbolowej posuchy.

Na początku lat dwutysięcznych na Energie ruszyli kibice z Gubina, Żagania czy Zielonej Góry. Niemcy w poszczególnych rundach liczbę Polaków na trybunach Stadionu Przyjaźni liczyli w tysiącach. Nawet w 2004 r., kiedy "Die Lausitzer" grali w 2. Bundeslidze, to Energie informowało, że średnio jeden domowy mecz oglądało 810 osób z polskim paszportem.

Niemiecki klub był bardzo zainteresowany stałym napływem kibiców z drugiego brzegu Nysy Łużyckiej, więc wymienił wtedy większość tablic informacyjnych na obiekcie na dwujęzyczne. I takie pozostały aż do dzisiaj, więc Polak nie ma szans zgubić się na Stadionie Przyjaźni w Chociebużu.

Mało tego - w czasach największego "prosperity" w internecie prężnie funkcjonowała polska strona kibiców o nazwie fcenergie.pl, gdzie przez kilka lat prowadzono dyskusje na temat sytuacji w klubie oraz organizowano wyjazdy.

- Przyjeżdżajcie. Utrzymamy dla Was 1. Bundesligę - apelował swego czasu w mediach Mariusz Kukielfka.

Trzecia, ale wciąż aktualna sprawa, to natomiast trwająca od wielu lat mocna zgoda kibiców Energie Cottbus z fanami małopolskiego Beskidu Andrychów. Dzięki temu namalowany herb polskiej drużyny można spotkać nawet w najmniej spodziewanych miejscach wschodniej Brandenburgii.

Energie, jak na realia byłej NRD, to klub z osobliwą historią.

Większość najbardziej znanych drużyn ze wschodnich Niemiec największe sukcesy święciła przed upadkiem muru berlińskiego, a dzisiaj co najwyżej odcina kupony od dawnej sławy.

Ale "Die Lausitzer" wcale nie mają powodów, żeby z przesadnym rozrzewnieniem wspominać czasy NRD. Energie w tabeli wszech czasów DDR-Oberligi zajmuje dopiero 24. miejsce. Za takimi potęgami, jak BSG Waggonbau Dessau czy BSG Stahl Thale, które nawet na tej stronie jeszcze nigdy nie doczekały się żadnej wzmianki.

Klub z Chociebuża rozegrał w najwyższej klasie rozgrywkowej NRD zaledwie siedem sezonów i dopiero w 1989 r. po raz pierwszy zdołał wywalczyć utrzymanie jako beniaminek! Wówczas legitymował się też trzecią najwyższą frekwencją w kraju - po Dynamie Drezno i Hansie Rostock. Wcześniej każdy awans kończył się natychmiastowym spadkiem.

To właśnie sam schyłek istnienia NRD był najlepszym okresem w dziejach Energie przed zjednoczeniem Niemiec. W następnym sezonie (1989/1990) "Die Lausitzer" osiągnęli swój najlepszy wynik w historii DDR-Oberligi - 7. miejsce (tym razem z drugą frekwencją w lidze). Dzięki temu dwukrotnie wzięli też udział w rozgrywkach Pucharu Intertoto.

Diametralna poprawa wyników Łużyczan na przełomie lat 80 i 90-tych wynikała w dużej mierze z kryzysu BFC Dynamo, które wcześniej - zgodnie z rozporządzeniem - mogło jednostronnie decydować o zabieraniu z Energie najlepszych i najbardziej utalentowanych zawodników. W takiej sytuacji nie było mowy o długofalowym zbudowaniu silnej drużyny.

U schyłku lat 80-tych BFC zaczęło jednak słabnąć, bo opiekujące się klubem ministerstwo bezpieczeństwa miało na głowie rozpadające się państwo i sport przestał mieć dla "bezpieki" aż tak duże znaczenie, skoro socjalistyczny raj chylił się upadkowi.



Wcześniej Energie było w NRD zespołem z drugiego planu, który czasami nie był nawet najlepszym klubem w swoim okręgu, którego Chociebuż był stolicą.

Zdarzało się, że drużyna oglądała plecy górniczych zespołów z Hoyerswerdy oraz Brieske-Senftenberg, o których pisałem w poprzednich odcinkach podróży po Łużycach.

W Cottbus próbowano różnych sposobów, żeby wykołegować lokalnych rywali z prowincji. W latach 60-tych cały zespół z Senftenberga przeniesiono do Chociebuża, a dekadę później Energie brało udział w grupowym donosie na BSG Aktivist Schwarze Pumpe.

Początek lat 90-tych nie zwiastował jeszcze, że Energie na przełomie wieków stanie się - obok Hansy Rostock - najsilniejszym klubem z byłej NRD i łącznie spędzi w 1. Bundeslidze sześć sezonów, czyli zaledwie o jeden mniej niż w całej historii występów w DDR-Oberlidze.

Za rajdem Energie do elity niemieckiego futbolu stał trener Eduard Geyer, który pracował w Cottbus przez dekadę - od 1994 do 2004 r. W 1997 r. jego zespół awansował do 2. Bundesligi po serii 57 meczów bez porażki. W tym samym sezonie - jeszcze jako trzecioligowiec - dotarł do finału Pucharu Niemiec, w którym przegrał 0:2 z VfB Stuttgart.

A trzy lata później Energie po raz pierwszy zameldowało się w 1. Bundeslidze. Klub z Cottbus w tamtym okresie generalnie funkcjonował w systemie trzyletnim.

1997-2000 - 2. Bundesliga, 2000-2003 - 1. Bundesliga, 2003-2006 - 2. Bundesliga, 2006-2009 - 1. Bundesliga.

Energie w elicie funkcjonowało w dość specyficzny sposób, który klubowi z Cottbus - nawet pomimo bycia swego rodzaju kopciuszkiem - nie zjednał zbyt wielu sympatyków w Niemczech. W Chociebużu warunki finansowe były skromne, a samo miejsce uznawano za skrajną prowincję niemal na końcu świata, więc w zasadzie nie było szans, żeby ściągać tutaj dobrych Niemców. Energie nie miało tak naprawdę żadnych mocnych kart w ręku.

Hurtowo sięgano więc po zawodników z byłych demoludów i bloku wschodniego: Polaków, Rumunów, Bułgarów i piłkarzy z Bałkanów. Dla nich to była szansa na dobre otwarcie w 1. Bundeslidze oraz, w konsekwencji, pokazanie się większym klubom.

W Cottbus zbudowano więc drużynę opartą na walecznych oraz zdeterminowanych zawodnikach z szeroko pojętego wschodu, którzy nigdy nie odstawiali nogi i wszelkie braki w umiejętnościach nadrabiali tym, że w razie potrzeby potrafili "podostrzyć". Przez Dolne Łużyce przewinęło się mnóstwo boiskowych zakapiorów albo świrów, jak np. bramkarz Tomislav Piplica, który zasłynął z samobója, którego strzelił sobie głowę. Piplica lubił również jeździć po mieście na podwójnym gazie albo po złości obronił symbolicznego karnego strzelanego przez ówczesnego kanclerza Gerharda Schrödera, choć wcześniej ustalenia były inne (na początku XXI w. politycy lubili jeździć do Cottbus, żeby pokazywać, że na wschodzie też może udać się coś fajnego).

W 2001 r. Energie zostało pierwszym klubem w historii 1. Bundesligi, który wystawił do gry jedenastkę złożoną tylko z obcokrajowców.

Taką brygadą musieli oczywiście dowodzić równie specyficzni szkoleniowcy.

Najpierw był wyżej wspomniany, urodzony w Bielsku-Białej Geyer. Kat, który na rozbieganie potrafił zafundować piłkarzom 8,5 km "przebieżki". Później dowodzenie przejął Petrik Sander. Piłkarska legenda klubu z lat 80 i 90-tych i gość, który w 1984 r. z własnej woli odszedł z Energie do niższej ligi tylko dlatego, że szefostwo "Die Lausitzer" przyznanie mieszkania w Cottbus uzależniało wtedy od wzięcia ślubu ze swoją ówczesną narzeczoną. Sander stwierdził, że on sam będzie decydował o terminie zawarcia związku małżeńskiego, spakował się i wrócił do rodzinnej miejscowości Quedlinburg, gdzie przez dwa lata grał w miejscowym Motorze.

Już jako trener, w latach dwutysięcznych, kontynuował dzieło Geyera. Mając świadomość, że jego zespół nie jest predysponowany do tego, żeby grać piękną piłkę i musi postawić na inne metody. Aparycja typowego DDR-owca i odgórne założenie, że klubowy, powyciągany dres jest idealnym outfitem na każdą okazję, idealnie wpasowywały się w klimat chociebuskiego Stadionu Przyjaźni. Sander dla Energie stracił nawet zdrowie, ponieważ w 2005 r., podczas derbowego spotkania z Erzgebirge Aue, tuż obok niego wybuchła petarda hukowa i uszkodziła słuch w prawym uchu szkoleniowca.

W historii Energie z czasów gry w 1. Bundeslidze jest jeszcze jeden istotny wątek, ponieważ jak często w takich przypadkach - chodziło o coś więcej niż tylko piłkę nożną.

Cottbus to stutysięczne miasto na głębokiej prowincji, które po zjednoczeniu Niemiec długo nie potrafiło odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Za czasów NRD było stolicą okręgu węglowo-energetycznego, który po 1989 r. stał się w dotychczasowej formie nierentowny, a prywatyzacja państwowych zakładów była równoznaczna z restrukturyzacją, za którą nierzadko stało drastyczne cięcie miejsc pracy.

Chociebuż nadal nie wygląda przesadnie reprezentatywnie, a najlepszy hotel w mieście - Radisson ciągle nadawałby się jako anturaż do kręcenia np. remake-u "Psów" Pasikowskiego osadzonych w czasach transformacji ustrojowej. W latach 90-tych bezrobocie w okolicy dochodziło nawet do 20 proc., dlatego awans do 1. Bundesligi i możliwość gry z Bayernem Monachium, HSV czy Borussią Dortmund był tak naprawdę zderzeniem dwóch różnych światów. Tak dużych różnic, jak pomiędzy wschodnią Brandenburgią a np. Bawarią w latach 90-tych, w Polsce nigdy nie doświadczyliśmy. Nawet jeśli uznamy, że tzw. Polska A i Polska B naprawdę istnieją.

To dlatego Energie tak wyjątkowo traktowało pojedynki z najsilniejszymi i paradoksalnie to właśnie ogrywając gigantów na własnym stadionie wywalczyło utrzymanie w 1. Bundeslidze w pierwszym sezonie 2000/2001. Drugim zwycięstwem w historii występów w elicie było pokonanie u siebie przy 20 tys. widzów Bayernu Monachium 1:0. W tym samym sezonie "Die Lausitzer" mieli jeszcze na rozkładzie większość czołówki, która została ugotowana na Stadionie Przyjaźni.

Wówczas bez punktów spod polskiej granicy wyjechały m. in. Schalke 04, HSV, Werder Brema czy Hertha Berlin. To wystarczyło, żeby skończyć zmagania tuż nad kreską.

Dzisiaj mecze z Bayernem to niemal zamierzchła przeszłość. W ostatnich latach Energie grało na czwartym poziomie rozrywkowym, przy okazji zmagając się z poważnymi problemami finansowymi. Dopiero w poprzednim sezonie piłkarzom z Cottbus udało się uciec z amatorskich rozgrywek i awansować do 3. Ligi.

I na Stadionie Przyjaźni nareszcie czuć namiastkę starych, dobrych czasów. Energie po awansie do 3. Ligi bardzo szybko zadomowiło się w ścisłej czołówce i w momencie pisania tego tekstu ma na koncie serię czterech zwycięstw z rzędu (efektownych, bo w stosunku 3:0, 4:0, 5:2 i 4:1), a frekwencja na trybunach znów przekracza 10 tys. widzów.

Jeszcze jesienią Energie rozegra u siebie takie hity, jak mecze m. in. z TSV 1860 Monachium czy Hansą Rostock, dlatego wizyta w Cottbus w najbliższym czasie to na pewno świetny pomysł na poznanie z bliska klimatu futbolu w byłej NRD.

Aktualizacja 12/2024:

Energie Cottbus po świetnej rundzie jesiennej kończy pierwszą część sezonu na sensacyjnym, 2. miejscu w tabeli 3. Ligi i wiosną powalczy o drugi awans z rzędu. Tym razem do 2. Bundesligi.

NEUSTRELITZ

*Tutaj w NRD grało
najwięcej obcokrajowców*



Neustrelitz to bez wątpienia jedno z najładniejszych miast na północy byłej NRD. Absolutna perła Meklemburgii Pomorza-Przedniego robiąca zarówno dobre pierwsze wrażenie, jak i dodatkowo zyskująca przy bliższym poznaniu. Jak na ośrodek miejski liczący ledwie 20 tys. mieszkańców opcji na satysfakcjonujące spędzenie czasu jest tutaj zaskakująco dużo.

Po pierwsze architektura. Neustrelitz powstało w pierwszej połowie XIII w. za sprawą ówczesnego księcia Meklemburgii-Strelitz - Adolfa Fryderyka III. Po tym, jak w 1712 r. spłonął zamek w Strelitz, władca zlecił wybudowanie tuż obok nowej stolicy - czyli pałacu z całą infrastrukturą mieszkalną. Choć Meklemburgia była jednym z bardziej zacofanych krajów niemieckich, to jej władca nie zamierzał biedować i zaciągnął pożyczki, żeby dopracowane Neustrelitz robiło odpowiednie wrażenie. Nowe miasto zostało więc zaplanowane przez cenionych architektów i dzięki temu posiada absolutnie unikalny w skali Europy układ urbanistyczny. Była NRD słynie przede wszystkim ze swoich wzorcowych miast socjalistycznych (Eisenhüttenstadt, Schwedt, Hoyerswerda, Halle-Neustadt), ale za sprawą Neustrelitz może się też pochwalić wzorcowym miastem barokowym.

Głównym punktem jest bardzo duży, kwadratowy rynek, od którego promieniście odchodzi osiem ulic, które tworzą tym samym gwiazdzisty układ ścisłego centrum. Zaraz obok znajdują się natomiast robiące nie mniejsze wrażenie ogrody przypałacowe z wieloma zabytkowymi elementami z epoki baroku oraz pięknym kościołem przyzamkowym.

Niestety główny obiekt, czyli pałac (nazywany też zamkiem) nie przetrwał trudnej historii regionu. Spłonął w 1945 r. i nie został odbudowany.

Jako że Neustrelitz było rezydencją książąt meklemburskich i powstało konkretnie w tym celu, to nosi przydomek "Residenzstadt", który jest w powszechnym użyciu. Stosuje się go zamiennie i komplementarnie z faktyczną nazwą miejscowości. Pierwotne Strelitz z czasem stało się natomiast podmiejską dzielnicą i dzisiaj funkcjonuje jako Strelitz-Alt.

Jeśli ktoś ponad architekturę stawia atrakcje naturalne - też nie będzie zawiedziony. Neustrelitz leży nad jeziorem Zierker See, które jest połączone kanałem z rzeką Hawelą, czyli jedną z najważniejszych dróg wodnych w tej części kontynentu, która za sprawą wielu kanałów de facto łączy Berlin, a nawet Szczecin z zachodem Europy. W konsekwencji nad jeziorem znajduje się port i rozwinięta infrastruktura turystyczna, a dodatkową atrakcją jest także skansen Sławendorf (wioska słowiańska).

Ciągle mało? Neustrelitz leży dokładnie pomiędzy dwoma częściami Parku Narodowego Müritz. Największego lądowego parku narodowego w Niemczech, który ma w swojej ofercie m. in. 650 km szlaków pieszych i słynie przede wszystkim z jeziora o tej samej nazwie. Drugiego największego w kraju (a pierwszego, jeśli weźmiemy pod uwagę tylko zbiorniki wodne leżące w całości w Niemczech, ponieważ nasi zachodni sąsiedzi największe Jezioro Bodeńskie dzielą z Austrią i Szwajcarią).

Po wojnie, już za czasów NRD, w Neustrelitz i okolicach aż do 1991 r. stacjonowały wojska radzieckie.

Co ciekawe - miało to wpływ m. in. na rozwój piłki nożnej w okolicy. Łącznie mogło być tutaj skoszarowanych nawet 25 tys. wojskowych.

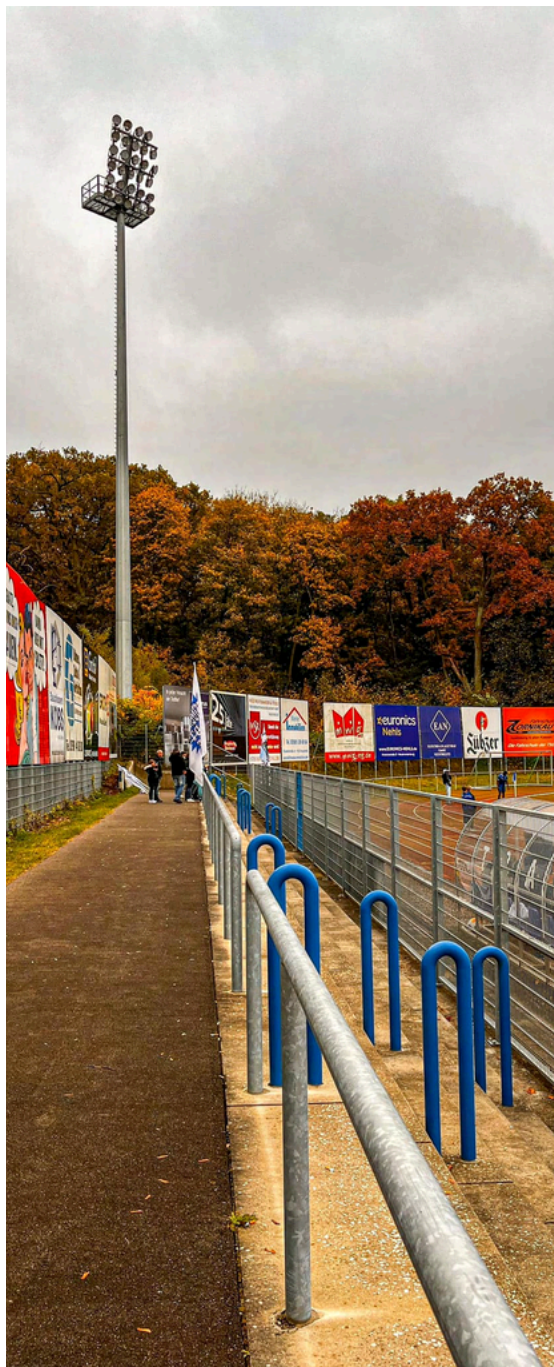
Historia futbolu w mieście jest dość specyficzna, ponieważ za czasów NRD miejscowa drużyna absolutnie nie należała do ścisłej czołówki klubów w północnej części kraju, natomiast już po zjednoczeniu Niemiec, w ogólnym rozrachunku, trzeba ją klasyfikować jako drugi najlepszy - oczywiście po Hansie Rostock - klub w landzie Meklemburgia-Pomorze Przednie.

Za czasów NRD klub najpierw występował jako BSG Empor Neustrelitz, w latach 70-tych przez chwilę używał mało chwytliwej nazwy BSG Maschinenlles Computing (MR) Neustrelitz (na kilka lat za sponsoring wzięła się bowiem państwowa firma zajmująca się przetwarzaniem danych), natomiast już od 1976 r. w obiegu jest dzisiejsza nazwa TSG Neustrelitz.

Klub z Neustrelitz w NRD nigdy nie dotarł do najwyższej klasy rozgrywkowej, a za największy sukces trzeba uznać 5 sezonów spędzonych w DDR-Lidze, czyli na zapleczu elity. Daje to jednak dopiero 107. miejsce w tabeli wszech czasów tych rozgrywek.

"Przedzjednoczeniowy" dorobek TSG wypada więc blado nie tylko na tle lokalnego hegemonu Hansy Rostock, ale także szeregu innych klubów z Meklemburgii oraz Pomorza Przedniego, które za czasów NRD radziły sobie zdecydowanie lepiej od piłkarzy z Neustrelitz.

Wystarczy zresztą sprawdzić tylko pierwszą dziesiątkę tabeli wszech czasów na zapleczu DDR-Oberligi.



Można znaleźć tam wojskowy ASG Vorwärts Stralsund, sąsiadów z BSG Post Neubrandenburg, sponsorowany przez elektrownię atomową BSG KKW Greifswald czy SG Dynamo Schwerin, które ma na koncie finał Pucharu NRD i występ w europejskich pucharach.



Najlepszy wynik TSG Neustrelitz to 8. miejsce w DDR-Lidze w sezonie 1978/1979.

Piłkarze z Residenzstadt na swoje usprawiedliwienie mogą jednak wyciągnąć argument, że na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej z reguły byli dorzucani do grupy B, powszechnie nazywanej "berlińską", która była uznawana za silniejszą od północnej.

Tylko w wyżej wspomnianym sezonie 1978/1979 TSG rywalizowało w swojej grupie z mocnymi: FC Vorwärts Frankfurt i Stahl Eisenhüttenstadt. Vorwärts kilka lat później zostanie przecież wicemistrzem NRD i sporo pogra w Europie.

W nrdowskiej historii piłki nożnej w Neustrelitz - choć nie znajdziemy w niej wielkich sukcesów - jest jednak jeden bardzo ciekawy wątek.

Otóż w żadnym wschodnioniemieckim klubie nie zagrało przed upadkiem muru berlińskiego, tyłu obcokrajowców, co właśnie w Neustrelitz. Tym zdecydowanie najbardziej znanym był Chérif Souleymane. Gwinejczyk, którego losy szeroko opisywałem w poprzednim roku, przy okazji tekstu o piłce nożnej w pobliskim Neubrandenburgu. W skrócie - Souleymane na początku lat 60-tych trafił do "Vier Tore Stadt" w ramach wymiany studenckiej.

Uprawiając sport w wolnych chwilach w hali miejscowego internatu szybko wpadł w oko trenerom miejscowego SC Neubrandenburg. Szybko okazało się, że to totalny kocik, który w sezonie 1963/1964 poprowadził klub do jedynego w historii awansu do DDR-Oberligi.

Niestety przepisy nie pozwalały grać obcokrajowcom w najwyższej klasie rozgrywkowej w NRD.

Na sezon 1964/1965 Souleymane przeniósł się więc do sąsiedniego Neustrelitz, które właśnie awansowało na zaplecze, czyli do DDR-Ligi. Niestety nawet jego wysokie umiejętności nie pozwoliły wywalczyć beniaminkowi utrzymania. Po spadku Souleymane wrócił do Afryki, gdzie zrobił karierę i w 1972 r. wybrano go piłkarzem roku na Czarnym Łądzie.

Razem z Gwinejczykiem barwy drużyny z Residenzstadt w sezonie 1964/1965 reprezentował także radziecki piłkarz Genadij Petrow. Przetarł w ten sposób szlaki swoim rodakom, którzy w następnych latach coraz liczniej uzupełniali kadrę miejscowej drużyny. Wynikało to oczywiście z tego, że w pobliżu licznie stacjonowały wojska radzieckie (zresztą sam stadion nosił nazwę przyjaźni niemiecko-sowieckiej). Gdy w 1976 r. TSG po raz drugi zameldowało się na zapleczu elity, to miało już w swoich szeregach trzech Sowietów: Andreja Dimana, Iwana Kosoroga i Viktora Kalinina. A w latach 80-tych obecność kolejnych obywateli ZSRR w drużynie z Neustrelitz już nikogo nie dziwiła.

Warto jednak dodać, że w latach 1979-1982 w TSG grał również węgierski bramkarz Michael Farkas.

Po zjednoczeniu Niemiec w regionie nastąpiło nowe rozdanie i TSG Neustrelitz z czasem stało się jednym z potentatów w nowym landzie Meklemburgia-Pomorze Przednie, który po 1990 r. stał się jeszcze większą piłkarską pustynią niż za czasów NRD. Klub - poza jednym sezonem 1995/1996 spędzonym na szóstym poziomie rozgrywkowym - charakteryzuje się wyjątkową stabilnością i seriami gra albo w 4., albo w 5. Lidze.

Najlepszy w nowożytnych dziejach był bez wątpienia sezon 2013/2014, kiedy TSG wygrało północno-wschodnią grupę Regionalligi (Nordost) i miało prawo wystartować w barażach o awans do 3. Ligi. Gdyby misja zakończyła się sukcesem, to zespół z Neustrelitz byłby do dzisiaj jedynym klubem z Meklemburgii-Pomorza Przedniego (obok oczywiście Hansy Rostock), który zagrałby na szczelbu centralnym. TSG zakończyło zmagania w swojej grupie Regionalligi z 70 punktami zdobytymi w 30 meczach i zdystansowało tak legendarne kluby, jak 1. FC Magdeburg, Carl Zeiss Jena, FSV Zwickau czy 1. FC Lokomotive Lipsk. Niestety TSG w barażach o awans do 3. Ligi dwa razy przegrało z rezerwami FSV Mainz i historyczny awans się nie udał.

Aktualna rzeczywistość wygląda nieco gorzej, ponieważ od 2018 r. TSG gra w Oberlidze, czyli na piątym poziomie rozgrywkowym. Przed pandemią klub chętnie sięgał po Polaków (np. w sezonie 2018/2019 było ich pięciu), ale aktualnie w drużynie z Residenzstadt występuje tylko jeden nasz rodak - Oskar Fijałkowski. 30-letni defensywny pomocnik jest jednak kluczowym piłkarzem swojej drużyny i w Neustrelitz gra od 2020 r.

Jeszcze kilka temu na poziomie 5. Ligi rozgrywano naszpikowane Polakami przygraniczne derby z Torgelowerem FC Greif, ale jakiś czas temu "Odlewnicy" z Torgelow dobrowolnie wycofali się z Oberligi, zmontowali fuzję z sąsiadami z Ueckermünde i teraz jako SpVgg Torgelow-Ueckermünde grają na szóstym poziomie. Ale TSG Neustrelitz konsekwentnie kontynuuje zapoczątkowaną jeszcze za czasów NRD tradycję ściągania egzotycznych zawodników i w ataku wystawia reprezentanta... Aruby Javiera Jimenez.

Moja weekendowa wyprawa do Neustrelitz nie przypadła na przesadnie pomyślny okres dla klubu, który od wielu lat plasuje się w górnej połowie tabeli Oberligi, ale w aktualnych rozgrywkach przechodzi dość spory kryzys i pałęta się niebezpiecznie blisko miejsc oznaczonych kolorem żółtym i czerwonym. Tylko jedno zwycięstwo odniesione na własnym stadionie w tym sezonie powodowało, że to Eintracht Mahlsdorf przyjechał do malowniczego miasteczka w Meklemburgii jako faworyt. A było to tym bardziej smutne, że zespół z przedmieść Berlina to tylko ligowy średniak. Nikt więcej.

W okolicach pięknie położonego Parkstadion w Neustrelitz od razu widać, że - jak na niewygórowane standardy tego regionu - od czasu do czasu pachnie tutaj w miarę poważną piłką. Ogromny parking dla kibiców gospodarzy i osobny wjazd dla samochodów, którymi przyjeżdżają sympatycy drużyn przyjezdnych. Do tego wzdłuż drogi duża tablica z informacją, kiedy TSG rozgrywa kolejne spotkanie.

Sam stadion też potwierdza, że po zjednoczeniu Niemiec dorobek TSG Neustrelitz ustępuje w regionie tylko Hansie Rostock, bo Parkstadion to zdecydowanie najładniejszy oraz najbardziej zaawansowany infrastrukturalnie obiekt w Meklemburgii-Pomorzu Przednim obok legendarnego Ostseestadion (choć oczywiście różnica pomiędzy nimi jest kolosalna; tak, jak i w poziomie piłkarskim drużyn na nich grających). Jupitery, zadaszona trybuna główna, duży sektor gości, kilka stoisk gastronomicznych, nowoczesny telebim - jak na warunki piątej ligi: "more than enough".



Co to dużo mówić Parkstadion jest nowocześniejszy chociażby od klimatycznego Sportforum Hohenschönhausen, na którym ligę wyżej mecze gra BFC Dynamo. Nic dziwnego, że obiekt w Neustrelitz często jest wybierany na miejsce finału regionalnego Pucharu Niemiec w Meklemburgii-Pomorzu Przednim.

W ostatnich dwóch dekadach TSG czterokrotnie startowało w pełnowymiarowym Pucharze Niemiec i po pięć tysięcy widzów na trybuny Parkstadion ściągały TSV 1860 Monachium, SC Freiburg i dwukrotnie Karlsruher SC (w 2007 i 2022 r.). Kilka tygodni temu do Neustrelitz na spotkanie regionalnego Pucharu Niemiec przyjechała też Hansa Rostock, która na oczach 3600 widzów wymęczyła awans 1:0 po rzucie karnym w 122. minucie!

Bilet na starcie z Eintrachtem Mahlsdorf kosztował 10 euro, można też było dokupić specjalnie przygotowany program meczowy. Z jednej strony trybuny głównej przyjemnie pachniał grill, z drugiej lano piwko za 4 euro. Na wyjście piłkarzy z głośników poleciał klubowy hymn. Niemiecka klasyka gatunku i klimat, który szybko kupujesz. Na boisku jednak kopanina. Goście mają więcej jakości, ale nie potrafią przekuć jej w konkrety pod bramką Neustrelitz. Gospodarze grają natomiast bez ładu i składu, a bezradny trener Thomas Franke (były zawodnik m. in. Energie Cottbus i Dynamo Drezno) tylko miota się przy linii i pokrzykuje. Jakby świadomy tego, że to pewne wydarzenia są nieuniknione.

Po drugiej stronie boiska znajduje się znacznie mniejsza trybuna z kilkoma rzędami miejsc stojących.

W jej rogu formuje się mały quasi-młynek, który wywiesza na płocie biało-niebieskie flagi i ma też kilka tzw. sztycówek (w tym jedną dużą z napisem "Fanszene Residenzstadt"). Planuję z bliska przyjrzeć się temu zjawisku, ale najpierw muszę rozkminić, jak dostać się na drugą stronę. Po szybkiej analizie okazuje się, że po prostu muszę zejść na bieżnię, przejść obok fotoreporterów oraz chłopców od podawania piłek i wejść sobie na trybunkę. Taki manewr wydaje mi się niespodziewany, ale okazuje się, że faktycznie wchodzę na płytę, nikogo to nie dziwi, i jak gdyby nigdy nic okrążam sobie boisko. Młynek to zaledwie 5-10 osób w klimacie stuprocentowo piknikowym. Flagi na kijach są wetknięte pomiędzy płot a barierki, natomiast megafon leży sobie odłogi, czekając na lepsze czasy. Grupa ma jednak swoją oficjalną nazwę Zone 172 (w nawiązaniu do pierwszych cyfr kodu pocztowego) i na obiekcie widać m. in. vleпки wyprodukowane przez jej członków.

W drugiej połowie goście kończą dzień dziecka, wrzucają wyższy bieg i ostatecznie zasłużenie pokonują TSG Neustrelitz aż 3:0, co jest najlepszym podsumowaniem nie najlepszego okresu w najnowszej historii klubu z Residenzstadt. W mieście książąt na pewno mają o czym myśleć, bo uwikłanie się w walkę o utrzymanie byłoby niewątpliwie przykrą sprawą dla kibiców. A warto pamiętać, że futbol nie znosi próżni i zespół z Neustrelitz za jakiś czas może stracić pozycję drugiej siły w landzie w ujęciu historycznym. Ligę wyżej (w Regionallidze Nordost) występuje przecież Greifswalder FC, który ma możnego sponsora, planuje przebudowę obiektu i w poprzednim sezonie długo był sensacyjnym liderem oraz w zasadzie do końca liczył się w walce o awans do 3. Ligi.

HANSA W TORGELOW

Czy są jakieś plusy tego, że Hansa Rostock spadła do 3. Ligi?

C

hyba tylko jeden, ale za to bardzo konkretny. Hansa "musi" brać udział w regionalnym Pucharze Niemiec.

A to nic innego jak po prostu tour marketingowy po najdalszych zakątkach rozciągającego się na przestrzeni ponad 300 km landu, gdzie każdy wysysa z mlekiem matki hasło AFDFCH, czyli "Wszystko dla Hansy Rostock". I to nawet wtedy, jeśli nie wymieni nazwiska ani jednego zawodnika albo ciągle żyje czasami 1. Bundesligi. Bo w tym skrajnie zlaicyzowanym regionie Hansa to religia, a każdy jej wyznawca - nawet po spadku - zawsze powie "Egal welche liga Hansa Rostock immer wieder".

Kiedys - w szeroko pojętych czasach studenckich - można powiedzieć, że zawodowo zajmowałem się quasi-dziennikarstwem, pisząc oczywiście o sporcie. Z tamtego okresu wyciągnąłem kilka wartościowych wniosków na przyszłość, a jedną z rzeczy, która na długo utkwiała mi w pamięci była pogarda, z którą niektórzy dziennikarze (myślący, że zmieniają świat i robią coś ważnego) traktowali osoby zajmujące się sportem.



Coś w stylu: "Pisz sobie chłopczyku o swoich chłopcach biegających w krótkich spodenkach, ale prawdziwe dziennikarstwo zostaw nam."

No cóż, ja myślałem sobie w takich momentach - poszedłbyś raz na stadion, a dowiedziałbyś się o otaczającym świecie więcej niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

Hansa Rostock, po trzech latach spędzonych w 2. Bundeslidze, w poprzednim sezonie znowu spadła do 3. Ligi, gdzie wcześniej spędziła prawie dekadę - pograżając się wówczas w największym kryzysie od zjednoczenia Niemiec.

Trudno się więc dziwić, że w ostatnich miesiącach rozciągająca się od rogatek Lubeki aż po polską granicę Meklemburgia-Pomorze Przednie, choć na co dzień mająca chłodną twarz Janne Ahonena, znowu zapłakała.

Bo w Europie niewiele jest aż tak silnie homogenicznych piłkarsko regionów, w których na przestrzeni kilkuset kilometrów kibicuje się tylko jednemu klubowi. I nie chodzi tylko o to, że nawet na spotkaniach 3. Ligi średnia frekwencja na poziomie 25 tys. jest czymś normalnym, ale o to, że Hansa po prostu zastąpiła w tym skrajnie zlaicyzowanym społeczeństwie religię. Ledwo przekroczysz granicę, do Rostocku masz jeszcze z 200 km, a już ze wszystkich stron jesteś bombardowany jedynym słusznym wyznaniem. Tysiące vlepek, dziesiątki murali (nawet na stodołach), flagi w oknach i przydomowych ogródkach. Każda, nawet najbardziej obojętna na futbol osoba jest całodobowo indoktrynowana.

Dlatego spadek Hansy do 3. Ligi ma jeden plus. Klub z Rostocku po kilku latach przerwy znowu musi grać w regionalnym Pucharze Niemiec, a to nic innego, jak po prostu bonusowa akcja marketingowa. Hansa od wczesnych rund aż do finału nawiedza kolejne wsie oraz miasteczka na głębokiej prowincji, które na kilka godzin w roku ożywają, celebrując przyjazd "tej jedynej".

Nikt nie oczekuje boiskowych niespodzianek, nikt nie ostrzy zębów na wyeliminowanie Hansy, każdy po prostu chce brać udział w tym wydarzeniu. Nic więc dziwnego, że na niektórych meczach z Hansą frekwencja bywa większa niż populacja danej miejscowości.

Zanim Hansa w 2021 r. awansowała do 2. Bundesligi, wygrała regionalny puchar w swoim landzie sześć razy z rzędu. Teraz rostocka "Die Kogge" znowu zaczęła objazd po Meklemburgii i Pomorzu Przednim, który zgodnie z ceremoniałem najprawdopodobniej zakończy się jej końcowym triumfem.

W tym sezonie Hansie wyjątkowo wylosowała się jednak "ścieżka zdrowia". Oczywiście jak niewygórowane standardy landu, który - poza Hansą - nigdy nie miał swojego przedstawiciela na szczelbu centralnym po upadku muru berlińskiego. W 2. rundzie większych problemów jeszcze nie było, bo solidny szóstoligowiec FSV Kühlungsborn został rozklepany na wyjeździe aż 5:0. Ale w kolejnej rundzie Hansa trafiła jednak na opisane ostatnio bardzo obszernie TSG Neustrelitz. Piątoligowca będącego aktualnie trzecią, a w ujęciu historycznym drugą siłą w całym landzie. 3600 kibiców na skądinąd uroczym Parkstadion przecierało oczy ze zdumienia. Hansa awansowała dalej po голу z rzutu karnego w 122. minucie dogrywki.

W 1/8 finału poprzeczka również była zawieszona relatywnie wysoko, ponieważ Hansa trafiła na SpVgg Torgelow-Ueckermünde. Klub teoretycznie tylko z szóstego poziomu rozgrywkowego, ale z konieczną adnotacją, że występujący na tym szczelbu z własnego wyboru. To efekt niedawnej fuzji Torgelowera FC Greif z FSV Einheit Ueckermünde, na mocy której TFC dobrowolnie wycofało się z NOFV-Oberligi o ligę niżej. Zresztą nowe SpVgg już w poprzednim sezonie, jako wicemistrz Verbandsligi, mogło wrócić do 5. Ligi ale zrezygnowało ze względów finansowych i organizacyjnych.

- Ale sportowo wiadomo, że spokojnie byśmy się tam utrzymali, dlatego pozostało nam uszanować decyzję zarządu - przekonywał w rozmowie do "Piłkarskiego przewodnika po byłej NRD 2. Futbol na pograniczu" obrońca SpVgg Adrian Skorb.

Dla mnie nie było wątpliwości - takiego wydarzenia nie można przegapić. Hansa miała przyjechać tuż pod polską granicę i to do klubu, który od wielu lat opiera swój skład przede wszystkim na Polakach. Nawet w najnowszej historii bywały momenty, że dałoby radę złożyć wyjściową "11" tylko z naszych rodaków. SpVgg po losowaniu stworzyło plakat meczowy, wrzuciło posta, gdzie można kupić bilety i w zasadzie tyle. W Polsce specjaliści od social media i marketingu załamałoby ręce - jak można w ten sposób marnować ogromny potencjał takiego wydarzenia, ale w Torgelow dobrze wiedzieli, że to w zupełności wystarczy. Hasło "gramy z Hansą Rostock" działało lepiej niż najlepsza akcja promocyjna.

Moje źródła w Torgelow przekonywały, że bilety będzie dało radę złapać w dniu meczu, ale już w tygodniu poprzedzającym spotkanie zaczął towarzyszyć mi delikatny niepokój, żeby nie sfrajerzyć się na ostatniej prostej. Szczególnie, że wszedłem na stronę Nord Kuriera, gdzie powitał mnie artykuł o zainteresowaniu, które przerosło oczekiwania osób zarządzających SpVgg. Już w samej przedsprzedaży poszło tyle biletów, na ile pierwotnie przewidywano docelową frekwencję na tym meczu. "Jeśli mieszkacie w Torgelow, zostawcie samochody w domu. Będziemy musieli wyłączyć z użytku ulice wokół stadionu" - apelowali przedstawiciele SpVgg na łamach prasy.



Dlatego trzy dni przed meczem presja wzięła górę. W mojej "kiste" został już tylko jeden Lübzer Pils i 19 pustych butelek, więc uznałem to za wystarczający pretekst do tego, żeby wybrać się na krótką wycieczkę zagraniczną. Wybór padł na najbliższy z mojej perspektywy Pasewalk, gdzie - wedle informacji z plakatu meczowego - można było kupić bilety w punkcie informacji przy urzędzie miejskim.

Niestety wyprawa zakończyła się tylko połowicznym sukcesem, bo co prawda wracałem do domu ze skrzynką pełną piwa, ale bez biletów. Okazało się, że wejściówki owszem były tam dostępne, ale zostały już odesłane do Torgelow, żeby zwiększyć przedmeczową pulę w kasach. Nie ma co - świetna polityka informacyjna ze strony klubu.

W sobotę mecz był o 13, kasy otwierali o 11. Niespecjalnie uśmiechało mi się jechać do Torgelow tak wcześnie. Po pierwsze o tej porze roku nie ma tam co robić, a po drugie w życiu nie ma nic za darmo. To, że jechałem sobie w sobotę na pół dnia do Torgelow, oznaczało, że rano trzeba było jeszcze wywiązać się z obowiązków rodzinnych, zaliczając objazd po sklepach.

Ostatecznie do Torgelow udaje się dojechać około 40 minut przed pierwszym gwizdkiem. Niby przyzwoity zapas czasowy, ale szybko okazuje się, że w sobotnie południe całe miasteczko żyje tylko i wyłącznie meczem, a wszystkie drogi prowadzą na ukrytą w lesie Gießerei-Arena. Problem polega na tym, że północna dzielnica jest całkowicie wyłączona z ruchu i auto trzeba zostawić jakieś 2 km od stadionu, chociażby w okolicach dworca.

Co gorsza - po rzeńskim spacerku pod stadion miny momentalnie zrzedły, kiedy okazało się, że kolejka do bram wejściowych ma jakieś kilkaset metrów i jest już na tyle zakręcona, że w zasadzie nie widać, gdzie jest jej początek, ani za czym ci ludzie stoją. Za biletami, czy po prostu do wejścia. Mój kompan taktycznie zajmuje więc miejsce na jej końcu, a ja idę sprawdzić, czy da się to jakoś przyspieszyć.

Szybko okazuje się, że mamy do czynienia z modelowym wcielaniem w życie znanego hasła "organizacyjnie - Stal Mielec".

W tej gigantycznej kolejce stoją zarówno posiadacze biletów, jak i osoby, które taką wejściówkę chciałyby nabyć. Każdy i tak musi przejść przez kasę, gdzie miła pani albo sprawdzi, albo sprzeda wam bilet. Kątem oka widzę, że na kupce ma jeszcze z kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset biletów, więc moje samopoczucie diametralnie się poprawia. Z drugiej strony wcale nie uśmiecha mi się wracać na koniec tej kolejki. Bo kto wie, czy tych biletów wystarczy dla każdego, a poza tym nic nie wskazywało na to, że wszyscy wejdą na obiekt w ciągu 20 minut, a dokładnie tyle zostało do pierwszego gwizdka.

Widzę jednak, że obok znajduje się druga kasa, a do niej jest zdecydowanie mniejsza kolejka.

Trudno mi powiedzieć, co to dokładnie było, ale wyglądało to na jakąś linię pierwszeństwa dla posiadaczy karnetów albo coś w tym stylu. Niewykluczone, że także dla posiadaczy biletów z przedsprzedaży, ale że każdy - jak owieczka - ustawiał się po prostu na końcu tej najdłuższej kolejki, to wiele osób nawet nie wiedziało, że ruch można trochę rozładować.

Pod obiema kasami zaczął robić się niezły bajzel, którego najlepszą ilustracją byłby kadr z trenerskiej kariery Piotra Świerczewskiego i jego kultowe "Adams, musimy na chaos". Chaos w takich sytuacjach bywa jednak sprzymierzeńcem.



Dlatego podejmuję ryzyko i grzecznie ustawiam się w tej zdecydowanie krótszej kolejce. Po pierwsze ludzie wokół mnie też nie bardzo wiedzą, co jest pięć, a po drugie widzę, że druga pani również ma kupkę z biletami.

Koniec końców okazuje się, że ona co prawda biletów nie sprzedaje, ale za to odsyła do koleżanki obok, czyli do tej głównej kasy.

Można więc podejść bezpośrednio do właściwego okienka i w sumie nikt nie zarzuci ci, że się wepchnąłeś, bo przecież po prostu zostałeś tutaj odesłany. Manewr zadziałał na galowo i nawet nie czekaliśmy, żeby odbić się od tej drugiej kasy.

Po prostu zaczęliśmy powoli przesuwać się w kierunku tej właściwej i - cytując Daria ze "Ślepnąc od świateł" - nikt nic [złego] nie powiedział. Ostatecznie na obiekcie meldujemy się na dziesięć minut przed pierwszym gwizdkiem, co jeszcze kilka chwil temu wydawało się totalną abstrakcją.

Dzięki temu był czas na kilka refleksji. Po pierwsze towarzystwo w kolejce, jak na jej długość, było wyjątkowo spokojne oraz cierpliwie. Musisz stać, to stoisz. Niewielu było takich kombinatorów, jak... nie napiszę kto. Być może nastroje łagodził fakt, że w Niemczech można swobodnie spożywać piwo pod chmurką.

Inna sprawa, że do końca nie rozumiem fascynacji naszych sąsiadów Tyskim oraz Żywcem w puszkach, które w sobotnie przedpołudnie zdecydowanie zdominowały okolicę.

Mieszkam tuż przy granicy - dobrze wiem, że my pijemy ich, a oni nasze, ale mimo wszystko raczenie się ciepłym Tyskaczem z puszki uważam za doznanie z pogranicza ekstremalnych.

Po drugie nawet na przykładzie tak - mimo wszystko - niewielkiego wydarzenia widać, że słynny niemiecki ordnung oraz status kraju rozwiniętego stały się karykaturą, co niektórzy odkryli dopiero w trakcie Euro 2024. Weźmy na przykład tą panią z drugiej kasy. Też miała bilety na kupce przy swoim stanowisku, więc wystarczyłoby, żeby po prostu zaczęła je sprzedawać i kolejka chociaż trochę by się rozładowała. Ale że ktoś odgórnie wyznaczył jej inną rolę, to ona po prostu ślepo się jej trzymała. Quasi-ordnung, który szkodzi, zamiast pomóc.

Kolejna - już bardziej ogólna sprawa - to fakt, że coraz częściej zdaje sobie sprawę z tego, że na wycieczki po byłej NRD trzeba się przygotowywać prawie, jak na jakąś wyprawę do trzeciego świata. Przede wszystkim gotówka. Nie licząc supermarketów - w małych miejscowościach nawet nie rozpędzają się, że gdzieś zapłacisz kartą. A jeśli już, to w ten sposób przejdą tylko płatności powyżej 10 euro. Albo weź zapłać telefonem, to te nrdowskie babiny w kolejce za tobą będą myślały, że przyleciałeś z Marsa. Choć i tak najgorsze jest to zapóźnienie technologiczno-cyfrowe. Permanentny brak zasięgu na prowincji, który dla świętego spokoju wymusza na tobie pobieranie jeszcze w Polsce goglowskich map w wersji offline. Zresztą jeden z byłych ministrów zabraniał swoim pracownikom dzwonięcia do niego, kiedy jechał samochodem, bo ciągle wpadał w dziury bez zasięgu i nie dało się prowadzić normalnej rozmowy.

Fascynuje się byłą NRD z wielu powodów, a jednym z nich jest właśnie ten powrót do przeszłości w kilku aspektach.

Gießerei-Arena to w polskim tłumaczeniu Arena Odlewników. Nazwa wywodzi się od wydobywczych tradycji miasteczka, które rozwinęło się dzięki odkryciu w okolicy pokładów rudy darniowej i - w konsekwencji - jej przetwarzaniu. Do dzisiaj Torgelow słynie z przemysłu metalurgicznego a za czasów NRD miejscowa huta sponsorowała sport w tej niewielkiej miejscowości. Klub wówczas nosił nazwę BSG Nord Max Matern Torgelow (Max Matern był patronem zakładów przemysłowych, a per se męczennikiem dla ówczesnego ustroju). Najlepszy okres w historii to lata 70-te, kiedy zespół spędził pięć sezonów w DDR-Lidze, czyli na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej w NRD.

Sobotni mecz z Hansą oglądał nadkomplet ok. 4 tys. widzów (koniec końców spotkanie zaczęło się z ponad dziesięciominutowym opóźnieniem, żeby wszyscy zdążyli wejść). Po raz ostatni miejscowy stadion takie tłumy widział w sierpniu 2010 r., kiedy ówczesny Torgelower SV Greif w pełnoskalowym Pucharze Niemiec trafił na HSV. Wówczas na stadion przyszło aż 8 tys. widzów (można było ich wpuścić więcej niż teraz), a zespół z Hamburga wygrał 5:1 po hat-tricku Ruuda van Nistelrooya.

W sobotę kibice Hansy stricte z Rostocku mieli dla siebie wydzieloną klatkę gości na kilkaset osób (oczywiście została wypełniona do ostatniego miejsca, a bilety wyprzedano w wewnętrznej sprzedaży).

Najśmieszniejsze było jednak to, że sektor gości od reszty stadionu był oddzielony sektorem buforowym i przedstawicielami służb porządkowych.

Totalny absurd, ponieważ na pozostałych trybunach oczywiście też zasiedli (a w zasadzie to stali) kibice Hansy. Tyle że albo z Torgelow i okolic, albo ci, dla których nie starczyło wejściówek z puli dla "Rostockerów". Byli też przedstawiciele innych klubów z regionu. Mignęły czapki Dynama Schwerin a nawet Pogoni Szczecin.

Co tu dużo pisać - to był piękny obrazek socjologiczny będący jednocześnie wykładem na temat tego, jak wygląda życie w Meklemburgii. Na stadionie były dziesiątki osób jednocześnie ubranych zarówno w barwy miejscowej drużyny, jak i Hansy Rostock. Klasyczny kadr to czapka lub szalik SpVgg (ewentualnie Torgelowera albo Einheitsu sprzed fuzji) oraz naciągnięta na kurtkę koszulka meczowa Hansy.

Trzeba zresztą przyznać, że Hansa na przestrzeni kilku lat zrobiła gigantyczny przeskok, jeśli chodzi o szeroko pojęty merchandising. Kiedyś zapotrzebowanie na gadżety klubu w obszarach przygranicznych realizowali sprzedawcy podróbek z bazaru w Świnoujściu, natomiast teraz nawet dzieciaki, które jeszcze nigdy nie były na Ostseestadion już mają na sobie spersonalizowane przez ojców oryginalne meczówki. Do tego oczywiście dużo ciuchów wypuszczanych przez przygraniczne fancluby takie, jak Hansafans Pasewalk czy Kompanie Nordost.

Przed pierwszym gwizdkiem nikt nie nastawiał się na wielkie widowisko na boisku - Hansa miała spokojnie wygrać, nie wrzucając wyższego biegu.

Potwierdzała to zresztą historia.



Obie drużyny w ostatnim czasie spotykały się m. in. w finałach regionalnego Pucharu Niemiec w 2019 i 2020 r. Hansa wygrywała je odpowiednio 4:1 oraz 3:0.

To po prostu miało być lokalne święto, a wiele osób z początku nawet nie do końca z pełnym skupieniem obserwowało wydarzenia na boisku.

Rozmowy, wurst, kolejka po grzańca i lane piwo. Klasyczny fusballkultur, w którym bieżąca sytuacja na murawie wcale nie jest sprawą najwyższej wagi.

SpVgg na przestrzeni całego meczu postawiło jednak Hansie zaskakująco trudne warunki. Gospodarze mądrze ustawili się w obronie i choć w ofensywie nie mieli za wiele do powiedzenia, to nie pozwoli rozbujać się piłkarzom z Rostocku. Wszelkie braki w umiejętnościach nadrabiali ambicją, której potwierdzeniem może być np. fakt, że obrońca Adrian Skorb zagrał w tym spotkaniu na antybiotykach. Bez żadnego treningu, prosto z łóżka i ze skierowaniem do szpitala, bo kilka dni wcześniej rozłożyła go choroba. Nie mógł jednak odpuścić takiego spotkania.

W pierwszym składzie SpVgg zagrało aż pięciu Polaków, a trzech kolejnych siedziało na ławce rezerwowych (dwóch z nich weszło na boisko w drugiej połowie). Hansa wystawiła natomiast do gry mocny skład z szóstką zawodników, którzy wcześniej od początku zagraли w ligowym spotkaniu z SC Verl.

Hansa męczyła bułę, ale w 39. minucie z rzutu wolnego kapitalnie, w samo okienku uderzył beznadziejny do tej pory Christian Kinsombi i goście do szatni schodzili z prowadzeniem 1:0.

Zaraz na początku drugiej połowy zespół z Rostocku wywalczył też rzut karny i wszystko wskazywało na to, że już w 47. minucie - pomimo pewnych komplikacji - będzie po zabawie. Ale wówczas swój koncert między słupkami zaczął świetnie dysponowany Nico Barz, który najpierw obronił jedenastkę, a potem kapitalnie zachował się na linii jeszcze w kilku sytuacjach.

Hansa z czasem zaczęła tracić kontrolę nad meczem, a trybuny z coraz większym zaciekawieniem zaczynały kierować swoją uwagę ku murawie. Niespodzianka, którą byłoby doprowadzenie do dogrywki zaczęła wisieć w powietrzu. Gospodarzom - poza dobrym ustawieniem w defensywie - w końcu potrzebna była jednak jakaś szansa pod bramką Hansy. I takowa nadarzyła się w 78. minucie. SpVgg ruszyło z szybkim kontratakiem lewą stroną, który zakończył się płaskim wstrzeleniem piłki w pole karne przez Mateusza Kosackiego. Podanie było idealne, ponieważ piłka trafiła wprost pod nogi zamykającego akcję na długim słupku Emmanuela Okoye. Nigeryjczyk powinien ją po prostu z metra wepchnąć do pustaka, ale futbolówka w ostatniej chwili najprawdopodobniej podskoczyła na jakiejś kępcie trawy i przeleciała napastnikowi pomiędzy nogami. To była dwustuprocentowa sytuacja.

Okoye to zresztą bardzo ciekawy zawodnik z przeszłością m. in. w greckim Panionosie Ateny oraz cyprijskim Arisie Limassol, kiedyś wyceniany na 350 tys. euro. Do Torgelow zgłosił się w 2020 r.... przez Facebooka, a klubowi władze na początku myśleli, że to jakieś żarty. Okazało się, że Okoye skończył już z poważnym futbolem i wraz... z polską żoną osiadł na wsi przy polskiej granicy.

Ówczesny Torgelower FC był najbliższym w miarę poważnym klubem w okolicy, więc Nigeryjczyk zgłosił swój akces i gra tutaj do dzisiaj.

Torgelow na finiszu meczu rzuciło się do ataku, a Hansa wyglądała na drużynę zagubioną, która dała się zdominować amatorskiemu przeciwnikowi. W sektorze gości pojawiły się już nawet czarne świece dymne, które najprawdopodobniej miały wyrażać dezaprobatę dla poczynąń piłkarzy z Rostocku w tym spotkaniu.

Ale ostatecznie Hansa wróciła do domu z twarzą, ponieważ w doliczonym czasie gry goście wykorzystali fakt, że SpVgg się otworzyło i rozklepali z kontry do pustej bramki na 2:0. Sytuację musiał jednak ratować wpuszczony z ławki podstawowy napastnik Norweg Sigurd Haugen.

Hansa wygrała i jest już w ćwierćfinale.

Losowanie kolejnej fazy gier dopiero w styczniu, ale na placu boju została jeszcze jedna poważna drużyna, która przy dobrym dniu jest w stanie napsuć drużynie z Rostocku jeszcze więcej krwi niż SpVgg oraz TSG Neustrelitz.

To oczywiście czwartoligowy Greifswalder FC. Poza tym w puli jest jeszcze półpoważne Dynamo Schwerin z 5. Ligi, natomiast reszta drużyn to plankton, który zostanie bez problemu zdmuchnięty.

Ale oczywiście przy komplecie publiczności w każdej z tych miejscowości w przypadku wylosowania Hansy.



*Bez Wi-Fi nie macie
żadnych szans!*



Wizyta Hansy Rostock w Torgelow nie była jedynym ciekawym meczem w regionalnym Pucharze Niemiec w końcówce listopada.

Równie interesujący - oczywiście w tym przypadku także nie ze względu na poziom sportowy - był pojedynek w Pucharze Berlina pomiędzy BFC Dynamo a Delay Sports, który zgromadził na trybunach aż 4500 widzów.

Takich tłumów na Sportforum Hohenschönhausen nie było przynajmniej od 2022 r., kiedy BFC grało w barażach o awans do 3. Ligi.

Skąd aż takie zainteresowanie meczem z rywalem z 9. Ligi?

Było to bowiem starcie skrajnie odmiennych od siebie odłamów piłkarskiej kultury. Z jednej strony BFC Dynamo, czyli wizytówka hasła "against modern football". Absolutny gigant z czasów NRD, oddychający równie kontrowersyjną, co niezwykle imponującą historią z lat 80-tych. Na trybunach przede wszystkim 40 i 50-latkowie w kurtkach Stone Island. Brak sprzedaży biletów przez internet. Wejściówki kupuje się tylko za gotówkę i w kasie przed samym spotkaniem.

A wisząca na każdym meczu płachta z przekreślonym smartfonem dotyczy nie tylko młyna, ale w zasadzie wszystkich trybun.

Delay Sports Berlin to natomiast "produkt" odmienny o 180 stopni. Klub powstał w 2021 r. i został założony przez duet bardzo popularnych influencerów słynących ze streamów na Twitchu i YouTube: Eliasa Nerlicha oraz Sidneya Friede.

Friede to wychowanek Herthy Berlin, który grał w młodzieżowej reprezentacji Niemiec oraz zaliczył epizody w Belgii i na Słowacji, ale z powodu kontuzji musiał szybko porzucić marzenia o dużej piłkarskiej karierze.

Znane w internecie nazwiska pozwoliły przyciągnąć do projektu kilka kumatych osób, które pomogły zmontować niezły zespół, który w pierwszych dwóch sezonach wywalczył awans z 11. do 9. Ligi. A w trwających rozgrywkach Kreisligi A Delay Sports Berlin walczy o kolejną promocję i niewykluczone, że klub zrealizuje ambitny plan Eliasa Nerlicha, który na początek zakłada pięć awansów z rzędu i możliwie jak najszybsze dotarcie na szósty szczebel rozgrywkowy.

Ale Delay Sports Berlin - za sprawą "profesji" swoich włodarzy - na razie jest przede wszystkim wielką siłą w internecie. Na instagramie klub ma ponad 520 tys. obserwujących, czyli więcej niż Hertha i Union Berlin. To oznacza, że - przynajmniej w sieci - jest najpopularniejszą stołeczną drużyną sportową.

Pucharowy mecz z BFC Dynamo w 1/8 finału Berliner Landespokal był zdecydowanie najważniejszym wydarzeniem w krótkiej historii klubu influencerów. Delay Sports Berlin nie odważył się zresztą wziąć organizacji takiego wydarzenia na swoje barki i oddał dziesięciokrotnym mistrzom NRD prawo do bycia gospodarzem.

I po raz kolejny okazało się, że dla kibiców BFC sportowa stawka meczu wcale nie jest najważniejszym aspektem, jeśli chodzi o kształtowanie się frekwencji na trybunach.

Dla wielu ludzi ubranych w kurtki Stone Island i bordowe New Balance'y wizyta na Sportforum Hohenschönhausen jest po prostu afirmacją (przepraszam za to paskudne, influencerskie słowo) konkretnego stylu życia. Zupełnie sprzecznego z filozofią proponowaną przez Delay Sports Berlin.

Dlatego właśnie obiekt BFC Dynamo wyprzedził się po raz pierwszy w tym sezonie. Bo dla niektórych kibiców piłka nożna to nie tylko wyniki, trofea i transfery, ale coś znacznie więcej.

Zainteresowanie było tak duże, że mecz rozpoczął się z ponad dwudziestominutowym opóźnieniem, żeby wszyscy zdążyli wejść na archaiczny stadion we wschodnim Berlinie. Co ciekawe - Delay Sports również mógł liczyć na, teoretycznie, solidne wsparcie, ponieważ w sektorze gości zameldowało się... ponad 1000 osób. Nie był to jednak w żaden sposób zorganizowany ruch kibicowski, tylko dzieciaki i młodzież, które namówione w internecie przez swoich idoli od streamów, przyszły zobaczyć ich w akcji na boisku, zrobić sobie zdjęcie, wrzucić relację na social media. O dopingu nie było mowy.

BFC odpowiedziało pełnym młynem oraz świetnym dopingiem, który czasami przybierał formę szydery z niecodziennych gości (przyśpiewki w stylu "bez wi-fi nie macie żadnych szans"), a czasami był głośną prośbą o modernizację klimatycznego, choć totalnie zapuszczonego Sportforum. Wyciągnięto też kilka starych flag, w tym jedną z czasów głębokiego NRD. "Ta flaga reprezentuje to, co nas stworzyło. Tradycja, autentyczność, historia. Wartości przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Nic tutaj nie jest sztuczne i niczego nie możesz kupić" - napisała w podsumowaniu grupy Fraktion H 06.

Na boisku BFC Dynamo zdemolowało zespół influencerów aż 12:0 i zameldowało się w ćwierćfinale berlińskiego odfamu Pucharu Niemiec. Swoją drogą Die Weinrotten w poprzednich rundach również nie mieli litości dla niżej notowanych przeciwników. 22:0 z FC Karamé Berlin, 16:0 z MSV Normannia 08 i 5:0 SV Lichtenberg 47. Łącznie BFC zameldowało się więc w najlepszej ósemce z bilansem bramkowym 55:0!

Dziesięciokrotni mistrzowie NRD są głównym - obok ligowych rywali z Altglienicke - faworytem do końcowego triumfu, który będzie równoznaczny z przepustkami do pełnowymiarowego DFB Pokal. Na placu boju zostali też m. in. znani piątoligowcy: Tennis Borussia Berlin i Tasmania Berlin oraz klub mniejszości chorwackiej Croatia Berlin.

GRAFIKA "DIE FALSCHEN 9"

1. RUNDE:		0:22	
2. RUNDE:		0:16	
3. RUNDE:		0:5	
ACHTELFINALE:		0:12	

CRVENA ZVEZDA VFB STUTT GART



Cytując legendy gorzowskiego podziemia: "Pozmieniało się dookoła - nie wiem, czy to świat zwariował, czy to ja łapie lekką schizofrenię i dziwnego doła". Jeszcze niespełna dekadę temu Bałkany, a przede wszystkim Serbia jawiły się jako ziemia obiecana każdemu, kto atmosferę na trybunach i hasło #againstmodernnfootball stawia ponad piłkarskie popisy na zielonej murawie. Na potwierdzenie tej tezy mam chociażby fakt, że to właśnie na południu Europy należy szukać genezy powstania tego fanpage'a, o czym świadczy jego nazwa.

W ostatnich latach można było jednak odnieść wrażenie, że - z wielu względów - po dawnej sławie zostały tylko popłuczyny. Belgradzki monocentryzm (zarówno sportowy, jak i kibicowski), poza kilkoma wyjątkami, wykańcza resztki ruchu kibicowskiego w pozostałych miastach. W prawie stutysięcznej Suboticy na mecze chodzi w porywach z 400 osób. W niespełna 200-tysięcznym Niszu trzeba mieć sporo szczęścia, żeby załapać się na ligowe spotkanie z czterocyfrową liczbą widzów na trybunach. W Nowym Sadzie słynna "Firma" też nie ma lekko w rywalizacji z belgradzkimi wpływami.

Łączy się z tym oczywiście aspekt sportowy. Crvena zvezda na przestrzeni ostatnich lat odstawiła konkurencję na kilka długości i w 100 proc. zdominowała krajowe rozgrywki, w których... nie przegrała ligowego meczu od 2017 r., bijąc tym samym wszelkie europejskie rekordy.

Tylko w trwających rozgrywkach Zvezda wygrała 15 z 16 ligowych spotkań, a jedno zremisowała. Już teraz swobodnie mogłaby zacząć świętować ósmy mistrzowski tytuł z rzędu.

Co gorsza w Serbii już od jakiegoś czasu na prestiżu straciły słynne belgradzkie derby - rzadko bywają starciami drużyn o podobnym potencjale. Partizan nieustannie topi się w mniejszych lub większych kryzysach na wszelkich możliwych płaszczyznach. Od owianych już legendą i trudnych do wyjaśnienia notorycznych konfliktów na trybunach po bałagan w gabinetach. Jesienią "Wieczne Derby" na stadionie Partizana oglądało zaledwie 11 tys. widzów, a czarno-biali zostali rozbici przez rywala zza miedzy aż 4:0! Po ostatnim gwizdku ówczesny szkoleniowiec Partizana Aleksandar Stanojević pojawił się na konferencji prasowej z opatrunkiem na twarzy, ponieważ kilka chwil wcześniej do szatni wpadli wściekli kibice, a trener został raniony odłamekiem szkła. Dzisiaj wartość kadry - będącej oczkiem w głowie władz kraju - Crvene zvezdy wg. transfermarkt to ponad 78 milionów euro. Partizana nieco ponad 28.

Sytuacja w Serbii to też wartościowa lekcja dla tych, którzy narzekają na poziom polskiej ekstraklasy w kontekście tego, że nie dochowaliśmy się jednego giganta, który rok po roku melduje się np. w fazie grupowej Ligi Mistrzów. Zvezda po części wyświadczyła bowiem wilczą przysługę reszcie drużyn w Serbii. Najpierw mocno "nabiła" krajowy współczynnik, a potem - siłą rzeczy - wciągnęła za sobą jeszcze cztery drużyny do europejskich pucharów, w tym jeszcze jedną do eliminacji Ligi Mistrzów! Z jednej strony - chociażby w poprzednim roku - dzięki temu już przed startem eliminacji było wiadomo, że Serbowie z automatu będą mieli trzy drużyny w fazach grupowych (Zvezda zaczynała od fazy grupowej LM, natomiast TSC i Čukarički startowały w eliminacjach dopiero od fazy play-off, więc przegrywając i tak spokojnie spadały do grupy LE i LKE).

Ale serbskie kluby (sportowo i infrastrukturalnie) nie były jednak gotowe na taki "prezent" i w Europie z reguły zbierają oklep. W poprzednim sezonie Serbowie - mimo możliwości wystawienia pięciu drużyn i trzech miejsc w grupie - uzbierali w rankingu UEFA zaledwie 1.400 punktu, czyli mniej niż np. Łotwa i Andora. W tym jest trochę lepiej (2.900), ale to i tak nic chociażby przy wyniku Polski (7.500).

Zakopała się też sama Zvezda, która startując od fazy grupowej albo fazy play-off też ma ograniczone możliwości punktowania, bo jednak z tymi najlepszymi w Europie, koniec końców, ciężko jej podjąć równorzędną rywalizację.

Niejako potwierdzające tę tezę cztery porażki z rzędu w trwającej edycji Ligi Mistrzów spowodowały, że bilety na domowe spotkanie z VfB Stuttgart w tychże rozgrywkach nie rozeszły się na pniu i można było na spokojnie zaplanować wizytę na legendarnej Marakanie.

Po przylocie do Belgradu wystarczy dojechać z lotniska nad brzeg Sawy, żeby dostrzec ogromne, choć niekoniecznie korzystne zmiany w krajobrazie w miasta. Od ponad dekady jest bowiem realizowana gigantyczna inwestycja o nazwie "Belgrade Waterfront", czyli całkowita przebudowa obszaru nad rzeką, na którą składają się nowoczesne biurowce, zespoły mieszkalne czy galerie handlowe. Symbolem projektu jest świeżo oddany do użytku wieżowiec Kula Belgrade. Liczący 168 metrów budynek jest najwyższym budynkiem w byłej Jugosławii.



Obiekt faktycznie mocno wpisał się w krajobraz miasta z racji na swoją wybitność względem otoczenia, ale z drugiej strony w Warszawie nie byłby nawet w pierwszej piątce.

Na razie realizowana przy współpracy z szejkami inwestycja na kilka miliardów dolarów wygląda na zupełnie sztuczną, pozbawioną życia i w ogóle nie pasującą do klimatu Belgradu. Konieczność zrobienia miejsca pod BW spowodowała, że z użytku trzeba było wyłączyć chociażby historyczny dworzec główny, a z powierzchni ziemi zniknęło też kilka miejsc, które nierozzerwalnie kojarzyły się z tym miastem, jak chociażby legendarna w pewnych kręgach restauracja Paun.

Trudno się więc dziwić, że spora część mieszkańców Belgradu na BW patrzy z pogardą. Bo ta inwestycja to nic innego jak gigantomania charakterystyczna dla rządów autorytarnych - świetnie wyglądająca na zdjęciach i pokazach, ale niewiele zmieniająca w codziennym życiu zwykłych mieszkańców. Belgrad nadal pozostaje m. in. największym europejskim miastem bez metra. W konsekwencji tonącym w korkach, śmieciach i ze sparaliżowaną, niewydolną komunikacją miejską.

Jeżdżenie po jego ulicach jest przyjemne, jak wizyta u dentysty, a wszelkie innowacje są wprowadzone w bałkańskim stylu. W niektórych autobusach bilet można kupić tylko w automacie i bezgotówkowo, żeby kierowca skupił się na drodze. Teoretycznie bardzo fajnie, a praktycznie w jednym z autobusów okazało się, że po każdej transakcji przycinała się rolka w tym quasi-terminalu i kiero po każdym wydruku musiał ją ręcznie poprawiać.

W dniu meczu z VfB Stuttgart na ulicach Belgradu wisiały flagi Serbii i... Gwinei Równikowej, której przedstawiciele przyjechali do stolicy.

To pokazuje, jaka aktualnie jest pozycja Serbii na arenie międzynarodowej. Mający autorytarne zapędy prezydent Aleksandar Vučić, który np. lubi dowozić autokarami do lokali wyborczych Serbów z Bośni i Hercegowiny, konsekwentnie lawiruje pomiędzy Unią Europejską a Rosją - z jednej strony aspirując do dołączenia do wspólnoty, a z drugiej będąc jednym z ostatnich bastionów Starego Kontynentu przychylnie spoglądających w stronę Moskwy. Kiwki Vučićowi wychodzą całkiem nieźle, ale koniec końców kraj nie idzie w żadną stronę, więc pogrąża się w stagnacji.

Inna sprawa, że serbskie społeczeństwo jest w skali Europy wyjątkowo specyficzne. Poparcie dla dołączenia do Unii Europejskiej jest relatywnie niskie, a sympatia do Rosji duża. Wynika to oczywiście z uwarunkowań historycznych oraz kulturowych obficie podlanych umiłowaniem Serbów do martyrologii. Kosowo oraz leżąca na terenie Bośni Republika Serbska są ciągle głównym tematem na tapecie.

Siłą rzeczy konsekwencją szeregu wydarzeń z lat 90-tych jest niskie zaufanie do szeroko pojętego zachodu oraz momentami wręcz skrajnie negatywne nastawienie do NATO, co jest oczywiście pokłosiem operacji Allied Force z 1999 r.

Na szczęście wszelkie meandry geopolityki schodzą na dalszy plan, gdy człowiek pozwoli się wciągnąć w wir belgradzkich kavan i restauracji.



Pierwszy kieliszek rakiji, pierwszy Jelen, ćevapčići w asyście cebuli i ajwaru oraz odzież przesiąknięta wszechobecnym dymem z papierosów, który nie przeszkadza tylko w tej szerokości geograficznej.

Podałem nie tylko gotowy przepis na zagę, ale przede wszystkim sposób na odcięcie się od wszelkich problemów dnia codziennego.

Nigdzie głowa nie odpoczywa tak, jak na Bałkanach, gdzie przechylając jeden kieliszek już na horyzoncie pojawia się swojski kelner z pytaniem "Još jedno, momci?"

Po takim wstępie czterokilometrowy spacer z centrum na Marakanę jest czystą przyjemnością.

Szczególnie, gdy całe miasto stoi w korkach bonusowo spotęgowanych przez ponad 40 tys. osób, które w taki czy w inny sposób zmierzają na stadion.

Słabe wyniki w dotychczasowych spotkaniach Ligi Mistrzów oraz relatywnie niska klasa rywala - biorąc pod uwagę, że ostatnio w Belgradzie gościła FC Barcelona - spowodowały, że mecz się nie wyprzedał i do samego końca można było kupować wejściówki na boczne sektory poszczególnych trybun. Mimo to, chyba zgodnie z tradycją, pod Marakaną i tak krążyło mnóstwo koników, którzy próbowali zarobić kilka dinarów na biletach. Ostatecznie mecz obejrzało prawie 41,5 tys. widzów, co i tak trzeba uznać za bardzo dobry wynik.

Podczas spotkań Zvezdy w europejskich pucharach już standardem jest fakt, że piłkarze gospodarzy rozgrzewają się na bocznym boisku, natomiast na murawie Marakany pojawiają się tylko zawodnicy drużyny przyjezdnej i to na nich skupia się uwaga z reguły wrogo nastawionej publiczności, która serwuje gościom namiastkę tego, co czeka ich za kilkadziesiąt minut.

Gdy obie drużyny pojawiły się na murawie, to Delije, na tzw. wyjście, zaprezentowali kartoniadę z wizerunkiem Dragutina Maticia. Serbskiego zwiadowcy z okresu I wojny światowej, który za sprawą zdjęcia, które zrobiono mu w 1914 r. stał się jednym z najpopularniejszych serbskich żołnierzy tamtej epoki.

Całość uzupełniło hasło: "Svaka borba traži svoje junake!", czyli "Każda walka potrzebuje swoich bohaterów!". Jak się miało okazać, nie dało się lepiej wpasować z hasłem w to, co później działo się na boisku.

Inna sprawa, że kibice Zvezdy w ostatnich latach uparli się na tworzenie wyjątkowo skomplikowanych kartoniad, które - ze względu na dość płaskie ułożenie trybun oraz wybór trudnych motywów - nie zawsze są do końca czytelne i wymagają wyjaśnienia po końcowym gwizdku.

W tej materii mogliby się jeszcze sporo nauczyć np. od Legii Warszawa.

Mecz zaczął się fatalnie dla gospodarzy, ponieważ już w 5. minucie bałagan w obronie bezwzględnie wykorzystał Bošnjak Ermedin Demirovic i otworzył wynik spotkania. Wszystko wskazywało na to, że to będzie kolejny smutny, europejski wieczór w Belgradzie. Ale tym razem Zvezda nie dała za wygraną i postawiła wszystko na jedną kartę. W 12. minucie na solowy rajd niemal przez pół boiska zdecydował się Silas, który piękną akcją zwieńczył celnym uderzeniem do bramki rywali.

Kongijczyk gola nie celebrował, ponieważ do Belgradu kilka miesięcy temu trafił ze... Stuttgartu, gdzie grał od 2019 r.

Potem mecz się wyrównał i tym razem to do piłkarzy z Belgradu uśmiechnęło się szczęście, kiedy w 31. minucie wylewu dostała tym razem defensywa VfB i Rade Krunic mógł bez zawahania zapakować pod ladę na 2:1.

Druga połowa to już z kolei totalna jazda bez trzymanki. Zvezda nastawiła się na kontrataki i w ciągu pierwszego kwadransa zmarnowała trzy, w zasadzie stuprocentowe sytuacje do podwyższenia wyniku. Wydawało się, że ta nieskuteczność zaraz się zemści na gospodarzach, ale wtedy trener wpuścił na boisko dwóch ulubieńców publiczności: grającego w Belgradzie siódmy sezon Czarnogórcę Mirko Ivanicia oraz nieokiełznanego skrzydłowego Nemanję Radonjicia, który wrócił na Marakanę po wielu latach spędzonych zagranicą (odszedł ze Zvezdy w 2018 r. do Marsylii). Ivanić zapakował gola z główki po rożnym, a Radonjić z zimną krwią sfinalizował dwie kontry i Crvena zvezda odniosła absolutnie spektakularne oraz sensacyjne zwycięstwo aż 5:1. To jeden z największych triumfów Zvezdy w Europie w XXI w., więc trudno się dziwić, że po internecie krążyły filmy, na których osoby związane z klubem (od piłkarzy po kierownictwo) bawiły się do białego rana.

W Europie Delije z reguły są powściągliwi z paleniem pirotechniki, ponieważ - obok Legii Warszawa - Crvena zvezda jest jednym z największych "ulubieńców" UEFA, ale w takim meczu wiele osób po prostu nie mogło się powstrzymać i po kolejnych bramkach spontanicznie paliły się przemyczone na Sever race. Prawdziwe, efektowne racowisko miało natomiast miejsce już po końcowym gwizdku, kiedy piłkarze świętowali zwycięstwo razem z Delije.

VfB katastrofalnie zaprezentowało się zarówno na boisku, jak i na trybunach. Do Belgradu nie dotarła główna grupa ultrasów ze Stuttgartu, która została w zasadzie spacyfikowana przez służby na serbskim przejściu granicznym i postanowiła wrócić do Niemiec. Sektor gości pozostał więc nieoflagowany, a jedyne płótno VfB... zawisło do góry kołami na gnieździe gospodarzy, którzy na mieście polowali na niedobitki "kumatych". Mimo niezłej liczby ci, którzy dojechali dopingowali bardzo słabo, a z każdym kolejnym golem dla Zvezdy niemieckie popisy wokalne cichły coraz bardziej. W końcówce 40 tys. kibiców na Marakanie pożegnało gości szyderczym "Auf Wiedersehen", które pewnie było słychać nawet na drugim brzegu Sawy.

Cóż, podsumowanie będzie bardzo krótkie i też wsparte cytatem. Jeśli były jakieś wątpliwości, czy w Belgradzie ciągle jest to coś, to - pomimo wszelkich mankamentów - odpowiedź może być tylko jedna: "Bądź spokojny, Zvezda nie wychodzi z formy".



O AUTORZE

Mateusz Kasprzyk (urodzony w 1993 r.) - szczecinianin, groundhopper, bloger, kibic Pogoni Szczecin i miłośnik podróży - przede wszystkim po byłej NRD oraz byłej Jugosławii.

Autor książek: "Piłkarski przewodnik po byłej NRD. Sezon 2021/2022" (2021), "Piłkarski przewodnik po byłej NRD 2. Futbol na pograniczu" (2024) oraz e-booka "Za kulisami futbolu w byłej NRD" (2023). Autor bloga www.przewodnikponrd.blog oraz fanpage'a "Ja Volim Fudbal Traveling&Groundhopping". Absolwent Uniwersytetu Szczecińskiego na kierunkach: dziennikarstwo i komunikacja społeczna oraz dziennikarstwo i zarządzanie mediami. Założyciel portalu DumaPomorza.pl, były współpracownik kilku szczecińskich redakcji prasowych oraz internetowych.



@matkasprzyk



@javolimfudbal.poland

2025

